



NOWA KULTURA

Cena 1,20 zł - 8 stron

Warszawa, 19 lipca 1953 r.

Nr 29 (173) Rok IV



Rys Wojciech Fangor

BOHDAN CZESZKO

Na stałe

Rynek Starego Miasta pamięta, jedynie już jako pelen barw zakątek miasta. Za moich czasów nigdy nie był inny i nie chcę go sobie inaczej wyobrażać.

Obraz Rynku spłótnął się w mojej pamięci ze wszystkimi bajkami mojego dzieciństwa w barokowy, pelen zawijasów ornament. Zakurzony model korwety wiszący w sieni kamieniczki Fukiera służył wiele razy do moich wypraw dalekomorskich, jakiego podejmowałem w przedśmiertnych marzeniach. Rywalizowałem w wymyśleniu niecodziennością kształtu z transatlantykami, które zdobyły warty towarzystw okrętowych. Wybrałem żaglowiec skłonnym raczej zaufać p.satom i monsunom niż niezrozumiałej sile pary. „Nie spiesz mi się” — stwierdzałem i zamykałem miejsce na mostku kapitańskim rozkazywałem rwać kotwice. Długość zuchow obracało kółkiem (tytuł mojej koleżdy z powortka), spiewali monotonną pieśń, i kawałka od Fukiera powoli wychodziła z portu na Pradze, aby połączyć na pomoc dzieciom kapłana Głanta.

Słobrody portier odziany w sarmacko — operetkowy uniform, strząsający drzwi z halabardą w ręku, był moim świętym Mikołajem żyjącym prywatnie pomiędzy jedną gwiazdką a drugą.

Władze muncypalne dbały o to, aby w maksymalnym stopniu ubać Stare Miasto. Z lat późniejszych pamiętam dyktans pocztowy obwozący wycieczkowiczów. Pocztolioni odziani w tabaczkowe liberet trąbili, landara ruszała z Rynku w anachroniczną podróż po Warszawie, aby zakończyć ją znów na bawie kolorowym Starym Mieście.

Należy nie zapomnieć także o tysięcy stadach gołębi i emerytach karmiących je ze starcząskupulatością. Na tyłach katedry snuli się cicho czaruli i czyści księża, kwitły kwiaty w skrzynkach pod oknami na Kanonii. Patronował temu zabiegowi swojskiemu i bańsiotoboci dobroliwy Or-Oł, ćwierkający jak świerszcz swe ciepłutki, sarmackie wierszyki.

Bo dalej nieco poza barwnym kramikem Rynku, na Świętojerskiej, na Freta, na Krzywym Kole, na Rybakach, na Bugaju... tam świat zataczał swoją odświętność, ponure, szare czynszówki — „studnie” wypierały stare kamieniczki. Bałki wiszące pod bramami na niskich stołeczkach zataczały pozory mieszczanek, pogodnej starości, a sławili się po prostu zaharowanymi bez reszły starymi proletariuszami, suszącymi na słońcu piwniczne reumatyzmy. Bezrobotni podpierały ściany, na białych piaskarskich głębi grzebieli w galerniczym znoju piaskarzy.

W latach okupacji unikałem Starówki, jej kręte, gęsto przecinające się uliczki kryły zbyt wiele niespodzianek w żelaznych helmach. Tętno było dla obu walczących stron zbyt atrakcyjny topograficzny.

Pewnego okupacyjnego wieczoru przeżyłem rzecz p.zykra na Starym Mieście. Na Podwalu była winiarnia „tylko dla Niemców” pod nazwą „Krzywa Latarnia”. Portierem był tam ów nieśmiertelny steruszek z siwą brodą, przebrany za Polaka (czamara z petlicami, konfederatka z baremkiem). W gęsty mrok ulicy wywalił się z wnętrza knajpy żołdacy w stanie tym razem alkoholiznego zbydlęcnia. Pociągali starca za brodę, naciskali mu na oczy konfederatkę, czynili wszystkie burzowskie, tpe, z piwka zrodzone „kawaly” do jakich prowokował ich jego egzotyczny wygląd.

Św. Mikołaj dawno przestać być w moim życiu osobistością znaczącą

cokolwiek, ale zmierzch jego wcieleni napół mnie gorczyła.

Z ludźmi Starego Miasta, z jego uliczkami i wnętrzami domów zapoznałem się na dobre ja — mieszkając odległej Woli — dopiero w dobie powstania. Poznałem domy gruntownie od strychu, dającego możliwość stałperskiego wglądu w okolicę, do piwnic, których łukowe, kamienne sklepienia łączyły bezpoczeństwem, namawiały do spokojnego snu. Poznałem wszystkie załomę ulic, mierzyłem rozległość każdej przestrzeni, którą trzeba przebiec szybciej niż naciąży śmierć, tulił się do kamieni bruku i ścian domów, pragnąc wnikać w nie. Poznałem ludzi nader dokładnie, ponieważ był to czas szczerości. Zepchnięci na dno piekła „ludzie z piwnic” — „cywile”, jak ich nazywano, nie mieli czego tać i tać nie chcieli. Byli przedstawiani samym sobie wobec gości, pożaru i nieubłagane koszące śmierci. Przez długie trzy tygodnie bił w Stare Miasto żelazny huragan.

Cóż można było uczynić dla nich. Dać dla dziecka nieco cukru w kostkach, podzielić się porcją koniny... Pocięsen nie oczekiwali i nie chcieli, żądali kary dla winnych. Zwracali się do AL-owców z zaufaniem, sadzili, że więcej wiemy, my zaś nie mogliśmy opowiedzieć, odcieci od połączonych ze światem, nie pewnego o nadziei. Walczyliśmy w skłóceniu uczuć, zdając sobie doskonale sprawę z politycznego sensu powstania, zdając sobie sprawę z tego, że uczestnicząc w nim służyliśmy wrogi nam sprawie i jednocześnie wiedząc, że nie b'ć się — byłoby zbrodnią.

Opodał miejsca, gdzie zginęła w r. 1943 Hanka Sawicka, u zbiegu ulic Mostowej i Rybackiej, Czwartacy AL trzymali placówkę, ryglując ruch na Wiślostradzie, broniąc dzielnic przed atakiem od Wisły. Uparci obrona tej pozycji wyznaczała kierunek wrogiego natarcia. Ileż ciężkich natarć wspierały artylerię i czołgami wytrzymał ci młodzi chłopcy uzbrojeni skąpo, pozbawieni nieomal amunicji. Spalono kilka czołgów przy pomocy butelek z benzyną, wysadzono przy pomocy niewypałów artyleryjskich dom zamieniony w pozycję nieprzyjaciela.

Nim w bojach o Stare Miasto okrzepł batalion Czwartaków, nim zyskał nieжданą sławę jednej z najdzielniejszych jednostek bojowych, został zdziśiatkowany... Na Sarym Mieście zginęli także od bomby lotniczej wszyscy członkowie warszawskiego sztabu AL.

Wielu, wielu d'brzych synów warszawskiego ludu, wielu dobrych żołnierzy ruchu robotniczego skryła ziemia na Starym Mieście.

Pomyślcie o tym, że padli na progu wolności, tuż przed świtem dnia, o którego nadejście latami ciężko walczyli.

Kiedy wróciłem z wojny, wypadło mi iść na Żoliborz. Zapadał zmierzch. Z trudem odczytałem napis na płycie na obrobowej złożonej na skwerku opodał kościół św. Anny.

Był to grób towarzyszy ze sztabu. Nielicznym przechodniom musiał wydać się, nawet w tych dziwnych czasach, dziwnym widok żołnierza salutującego płytą mogiłą bez jakiegokolwiek okazji rocznicowej, zwyciężajnie — w środku tygodnia.

Przebiegałem przez Stare Miasto, wspinając się po wydmach gruzu, odnajdując raczej nawykami kierunek ulic. Okrutny pejzaż mnie otaczał, w takim pejzażu ludzie nie żyją, w takim pejzażu może jedynie wiać wiatr.

Na ulicy Freta spotkałem pierwsze światelka. Pierwsze gdzieś przy

Krzywym Kole, drugie przy ruinach kościoła św. Jacka. Była to jednocześnie sodołwiarnia, szynk i sklep z jarzynami.

Dalsze światelko było w wnętrzu ruin gospody „Pod Bazyliżką”, gdzie w czasie powstania była czwartacka kantyna.

Pod szesnastym, na ruinach domu, gdzie była nasza kwatera, odczytałem przy świetle elektrycznej lampki jeden z tych licznych napisów: „min nie ma” i obok: „Włodziu! Jesteśmy u ciotki Anny w Konstancynie”.

Ucieszyłem się, że oto ktoś z „cywilów” przeżył. Towarzyszyli mi dalej, znów otoczyli mnie księżycowy, kamienny pejzaż. Uciekleł stamtąd wówczas.

Wracałem jednak w ciągu ośmiu lat, dzielących tamtą chwilą od obecnej, wielokrotnie na Stare Miasto z coraz większym trudem odnajdując ślady „tamtych” miejsc, co i dobrze, ponieważ nie trzeba, aby warszawcy chodzili na Starówkę miając w myśli wspomnienia o zabitych.

Przed kilkoma dniami na Rynku rusztowania stały jeszcze tylko na stronie Zakrzewskiego i Dekierta. Rynek powoli opuszczały nawet artyści malarze i konserwatorzy, którzy ukochali prawie bez reszły zdobienie fasad lub rekonstrukcję dawnych złożeń i m'łowideł. A przecież dwa miesiące temu Markow

załaził się, kiedy przyszedłem doń na budowę Starówki: „Współzawodnictwo mi kuleje, nie można szeroko rozwinąć roboty. Wszystko jak widzisz krzywe, nadbudówki, przybudówki, no i konserwatorzy do tego, choćby się coś w palcach rozlało — zachowaj, załataj, złep do kupy”.

Wnętrza domów na Rynku pełne są krzątający. Stolarze zakładają boazerie ze szlachetnego drzewa, okuwają dębowe drzwi zdobione rzeźbami. Wysokiej jakości to roboty i w dobrym materiale. Sztukatorzy wypieścili już na sufitach i ścianach ornamenty. Kobiety z Zali-pia zdobią kwiatowym szlakiem belki stropu w przyszłej siedzibie CPLA.

Patrzę jak niezwykle szybkimi i precyzyjnymi ruchami pedzla prowadzą ornament, który przecież nie nie ma w sobie z graficznej osłody, jest jedyny, niechybny w dekoracji barw, chciałoby się powiedzieć — rzetelny. W oknach na Rynku widać już gdzieś gdzieś firanki lub kwiaty. Ludzie powrócili na stałe. Przypominam sobie ów napis wola-jący wśród ruin... Chciałbym, aby ten ktoś kto tu zamieszkał był kimś z „cywilów”, kimś „z piwnic”. Chciałbym go potrząsnąć za ramiona i krzyknąć z całą radością, jaka wzbudziła w moim sercu teraz, kiedy stoję na środku Rynku wykrzeszonego słońcem, mieniącego się kolorami: a nie mówię, że kto jak kto, ale my tu wrócimy.

Bohdan Czeszko

TADEUSZ KUREK

Ci nie odejdą

1
raptem na odcinek budowy wraz z opomianymi dostawami. Ostatnie, gorące dni.

Osi-powicz osłonił dionią oczy: niebo było błękitnoszare, bez śladu chmur, wysokie. Mimo to powietrze wydawało się zbyt ciężkie — po czterech dniach przedwczesnych upałów mógł zaskoczyć budowę deszcz.

— Osi-powicz! Osi-powicz, do inżyniera! — krzyzał ktoś.

Odwrócił się, poprawiając zsuniętą na bakiery, zatłuszczoną czapkę. Czego znów chce kierownik odcinka? Przecież powiedział mu już z rana, że będą pracowali dzisiaj dłużej. Może znów pomieszało się coś z frontem pracy? Poszedł w stronę zarządu odcinka swym szybkim, koryszającym się krokiem. Denerwował się teraz byle drobiazgiem, a budowa ciskała całym ciężarem wypadków. Złona pisała: „W r a c a j, kiedy już tak. Na kole i o ciebie pytają, dla czego mam tu być sama?” Rzucił to wszystko i wrócił do warsztatów kolejowych w Nowym Sączu? Dezercja.

Przyjechali na Kombinat w listopadzie. Trzynastu, zgrana paczka młodych nowosądeckich kolejarzy. Był apel o zaciąg pionierskim, więc zostawili za sobą beskidzkie zbocza i przyjechali. Kajtek w autobusie wspominał o pstrągach, które rwały czasem i nylonową żyłkę. Zamilkł, kiedy zobaczył miasto, różnobarwne jak ramiona cyrkuła wokół Osi Hutniczej. Pstragi — to było dawniej, tu była Nowa Huta; tu życie rwało bystrzej niż wody górskich potoków. No tak, będzie mógł ściągnąć żonę, dzieci będą lepić ba-beczki z piasku — może nawet na tym skwerze. A on będzie razem z towarzyszami budować Kombinat.

Wspomniał w Ośrodku Wербunko-wym, nieśmiało jeszcze, o mieszkaniu. Kierownik Wojtasow skrzywił się, jakby polizał cytrynę.

STANISŁAW PIĘTAK
WSPOMNIENIE LATA 1944 ROKU

Nadjeżdżali motocykliści niemieccy krwią i kurzem obryzgań. Żołnierze na ziemię walili się w biegu, ale podnosili ich sen. Konie mord wężąc ciągle podrywały szyje...

To było wczoraj, lecz dziś uciechł bój, przeniosł się o kilka kilometrów na zachód, za Wisłę i w polu płynęła znowu pełna słodczy przestrzeń, jak w porę najpogodniejszego lata, kiedy ludzie i zwierzęta szukają cienia, kiedy kłosa zbóż ledwie drżą w błękitnej ciszy, kiedy słycać senne westchnienia psaszą w gniazdach i żywy śmiech dzieł zrzucających koszułki i biegnących na przelaj do rzeki...

Szedłem przez znane łąziny pełen zmęczenia, lecz równocześnie pełen ogromnej radości, śpieszyłem przecież przez wyzwolony z męki kraj. U stóp walały mi się szczątki kół i kule. Nie widziałem ich już, oczy zatrzymywałem na pogodnym łuku nieba, na cichej linii ocalałych domów i plakałem ze szczęścia, że jestem wolny, że mogę mówić znów, śmiać się, cleszyć, śpiewać jak ptak ważący się wysoko na swej nucie w słonecznym, ojczystym powietrzu...

O lato, lato, do dziś twoją przestrzeń niosę i wiernie pamiętam, kto zwracał naszym oczom i naszym myślom życie, przyszłość i nadzieję. Ludzie już nie stał zgięci troską u progu, do czołgów radzieckich tulił się i śmiał.

2
— No cóż... Na mieszkanie trzeba zapracować — powiedział.

Osi-powicz zaprotestował. On wie, on nie nalega. Dopiero przyszli. Ale dla ochotników zaciąg pionierskiego, tak mówiono w ZMP...

— Nam nie oficjalnie o pionierach nie wiadomo.

Instrukcje, okólniki są zawsze powolniejsze od ludzi, mogą się opóźniać — a oni już byli w Nowej Hucie. Potem — Kombinat. Tam przyjęto ich z otwartymi rękami, każdy fachowiec ceniony był na wagę złota. Konstrukcje WMO — pierwszy raz pracowali wówczas na takich wysokościach. Trzeba było przynikać oczy i zmagać z sobą, żeby pokonać nierozsądne pragnienie patrzenia w dół. Pokazali co potrafili. Przyzwyczaili się do zawieszania nad dziesięciopiętrową przepaścią na pasie bezpieczeństwa. Ciapki koksowni, mroźny wiatr, lutowe odwilże zatapiające błotem cały teren, osiemnaście, dwadzieścia godzin na stanowisku. Nikt nie szemrał. Wybrali sami.

I znów Wojtasow — o brygadzie pionierskiej było już głośno na budowie, więc i on musiał wiedzieć:

— Ja wam nie nie mogę pomóc, towarzyszu Osi-powicz. Nie mamy mieszkani i poleceń w sprawie pionierów też nie mamy.

— Więc jak? Przecież gromadził wycinki z gazet, w których pisało o jego brygadzie. I tak nie wysunąłby jako argumentu, nie taki był. Ale zapracowali — w tym rzecz. W Nowym Sączu czekała żona z dwójkiem małych dzieci. Na kolei pamiętano jeszcze, pytano o niego. A tu? Sześć miesięcy, pół roku roboty i co? Janek Serafin czuł się nie inaczej, do niego też przychodziły listy z domu...

Pchnął drzwi baru kierownictwa, zawiąsł zaskrzeczał ironicznie, jak gdyby drzwi z wchodzące-

12.00 Komuniści meteo dla potrzeb budownictwa przemysłowego: „...od zachodu nad Polską pośudniową nadchodzi klin niskiego ciśnienia. Pod wieczór i w ciągu nocy możliwe lokalne burze, następne opady. Zniżka temperatury do około 17 stopni”.

12.55. Notatka Dżurnego Dyspeczera: „Dostawy z PPW OZ”.

13.10 ZB 4 do Dżurnego Dyspeczera: „Brygada Osi-powicza z turbodmucha zobowiązała się pozostać na noc. Trzeba im zapewnić oświetlenie, prócz tego kończy się nam tlen”.

13.11. Dżurny Dyspeczer do Pogotowia Elektrycznego: „Proszę wysłać ekipę do hali turbodmucha, założyć reflektory. Ludzie będą pracowali bez przerwy”.

3
Najmłodszy z brygady, Kajtek — Mietek Michalik pokładał się ze śmiechem. Koń zaplał się w żelaztowie i dotknął na ułamek sekundy przewodu pod prądem. Wystarczyło, aby pognął jak oszalały, ponosząc za sobą pustą wóz; wczłona gnał za nim na złamanie karku klnąc i błagając na przemian.

— O rany — ryczał Kajtek, ukazując w rozdzi w.onych usiach wyłamane sieka ze — A to komedia, niech go nie znam! Dziadek, batem go!

Chłopcy wtórowali mu, oderwawszy się od jedzenia. Budzący się wiatr tarmosił strzępy gazet, w które opakowali przyniesiony ze sobą chleb. Rzeczywiście, komedia. Koń opamięta się, teraz gdzieś na końcu drogi, a oni mieli w dowisko.

— Szkoła konia — powiedział Serafin, kiedy uspokoił się wreszcie. — Dobrze, że nie pognął gdzieś w wykopy, wtedy koniec. Nogi połamane. A my ryczymy ze śmiechu.

— Nic mu nie będzie, prąd słaby, (Dokończenie na str. 2-iej)

Ostatniecznie załatwione.

WANDA LEOPOLD



Na ruinach Starówki

Księżycowy krajobraz Warszawy od końca stycznia 1945 r. zaczął się pokrywać śladami cierpliwie penetrujących miasto, ludzkich stop. Wrócili ludzie. Wydeptali w gruzach ścieżki do swoich domostw, by przydzwignąć tobolek złożyć najcenniejszą w ruinie, szukali dalej, usiłując odnaleźć stare szlaki swojego życia, wydawali okrzyk radości jak przy spotkaniu kogoś najbliższego na wódkę ocierałego czołmu. Każdy z takich domów szybko zaludniał się ponad miarę, obrastał w przybudówki i stryszki jak jasłoczymi gniazdami, poszerzał swoje objętości, robił swoim życiem wyłom w martwocie ulicy. Stopniowo wzbierająca fala powracających przetarła ważniejsze szlaki komunikacyjne i niektóre części Warszawy zaczęły przypominać miasto.

Albo było miejsce w Warszawie na uboczu głównych szlaków, a poranione tak bardzo, że nie było o co zahaczać nowego życia, do którego jednak od pierwszych dni wyzwolenia wydeptali ścieżki warszawscy ludzie. Sześćkami tymi poprzez ruiny, obok gruzów sprężonych wyżej domów, na zawalonych wąskich uliczkach, dzień w dzień, a szczególnie w niedzielami, posuwali się ludzie. Pielgrzymi młancuszkami na Starówkę. Szli ci, którzy tu niedługo mieszkali, ci którzy tu walczyli, ci, którzy chcieli dotknąć ziemi, na której zginęli ich bliscy. Było takich wielu, bardzo wielu, ale szli nie tylko oni. Szedł każdy, kto zroził się na śmierć i życie ze swoim miastem, kto wbrew — zdawałoby się — beznadziejnej oczywistości wracał, by żyć w nim na nowo, każdy, komu drogę były dzieje miasta i narodu. Szli tam ludzie nie tylko przez pierwsze tygodnie i miesiące pełne jeszcze gorzkiej zadumy i wątpliwości. O losie miasta szli i później, już z nowych mieszkań w nowych dzielnicach, szli każdej niedzieli osmiu lat wolności miasta, dumni z nowych budów Warszawy, ale wierni dawnej miłości, tęskniący za Starówką.

„...LUD WYJDDIE Z RYNKU”

Nazwano ją sercem Warszawy. Była tym sercem dla warszawskiego ludu, jakim jest dla ludowej Warszawy. Obca była i groźna dla tych, którzy przed wojną przejeżdżali na chwilę na Rynek jedynie po to, by móc później w towarzyskiej rozmowie powiedzieć parę słów o malowidłach Stryjeńskiego właśnie „en vogue”, a po minucie stwierdziwszy, że jednak w tej dzielnicy bardzo źle powietrze, szli czym prędzej na lampkę wina do Fukiera i odjeżdżali do swych luksusowych mieszkań w ogrodowych dzielnicach. Cóż łączyć mogło kontynuatorów tradycji zdrajców, powieszonych przez lud staromiejski w 1794 roku, z potomkami owych sędziów ludowych czekających na swój dzień zapłaty? I jeśli Juliusz Słowacki umieścił wizję rewolucji właśnie na Starym Mieście, tam jej dając początek, to była w tym głęboka historyczna racja, zaświadczone na przyszłości i późniejszymi dziejami.

„Więc lada dzień, a nędza sprężyny docienię, to naprzód tam, na Rynek para oczu błądnie...”

a potem

„Dwa te śpiewy, już bez odpoczynku Będa miastu ogłaszać lud idący z Rynku”, „Jeśli lada noc, a z niej wystąpi powstanie I w proch tego rozrzuci, kto na rychłe stanie...”

Ten dzień, ta noc nie nadeszły tak szybko, ale lata całe trwała niezmęczona gotowość do walki o wyzwolenie. Stąd przeprowadził do boju warszawski płebś szewc Kilński, ale lud ten świadomością swoich celów przerósł przywódcę i wbrew jego woli dokonał sądu na zdrajcach. Stąd w listopadzie wieczór wyszli pierwsi spiskowcy, by zapalić bier na Solcu, a w dziewięć

miesiący później znów stąd padło hasło sądu nad zdrajcami i szpiegami.

W ciężkich latach sześćdziesiątych powstała na autentycznym fakcie oparta piosenka:

„Na Starym Mieście przy wodotrysku Pukownik Trepow dostał po pysku”.

Z biegiem lat w piśmiennictwie oberpolimajstera Trepowa zastąpił bezimienny „pan policmajster” i długo zachowała ona swoją popularność i aktualność, bo nieraz obrywał się panom polimajstrom na Starym Mieście. Ilek konspiracyjnych zebrań odbyło się w tych wąskich uliczkach, ileż skrytek pomieściły stare mury? O celu, o sensie tej walki mówił do robotników Starego Miasta Feliks Dzierżyński w kamieniczce ze starym godłem „Pod Murzynkiem”. I stąd, z ciasnych uliczek, szli mieszkańcy przez długie lata w pochodach pierwszomajowych na szerokie ulice śródmieścia.



Początek robót po stronie Kollataja

mieścia, zamieszkałe przez panów, aby oznajmić im swą wolę. I do miary symbolu urasta fakt, że tu właśnie zginęli warszawscy dowódcy Armii Ludowej w walce z faszystowskim wrogiem o wyzwolenie ludu.

A gdy przyszedł przepowiadany przez poetę dzień i lud z Rynku wyszedł do śródmieścia, stał się panem i gospodarzem całego miasta, całego kraju, twórcą nowego, sprawiedliwego życia, zaprzagnął wskrzesić w całym poknie swoją Starówkę.

A ta, która wyraża wolę ludu i lud ten coraz dalej w jego dążeniach prowadzi. Partia, ustami Bolesława Bieruta rzekła: „Stare Miasto musi być odbudowane w swojej pierwotnej szacie”.

„NOWA HISTORIA STARÓWKI

Zaczęło się naprawdę od Trasy W—Z. Była ona jakby przedsiownikiem Starówki. Uwieńczyła ją wszak kolumna Zygmunta, związana nieodłącznie przez wieki z historią Starego Miasta. Na Trasie uczyli się ludzie odkrywać piękno i współtworzyć z nim nową treść. Poznali też subtelniejsze i bardziej zawile arkana pracy niż przy wznoszeniu standardowych domów mieszkalnych. Pokochali tę pracę i wielu z nich poszło potem na Starówkę. Od tego czasu minęły cztery lata, i dziś, kiedy zdobia się już frontony kamieniczek na Ryнку, na wszystkich ważniejszych odcinkach można odnaleźć tych bynajmniej nie osłabłych weteranów.

„Za nie by nie odeszli ze Starówki” — mówi drugi sekretarz i trochę się przy tym dziwuje. Bo drugi sekretarz nie jest warszawiakiem. Zna i ceni ludzi, zna robotę, martwi się jak o najbardziej osobistą sprawę o zobowiązania, ale przy tym prychnie, że „takie to caczusko będzie”. I jak mu na rozum wytłumaczyć, że oczywiście trzeba, żeby było jak najładniej, ale że to nie caczusko misterne i dla oczu zabawa, tylko Starówka, ojcowizna.

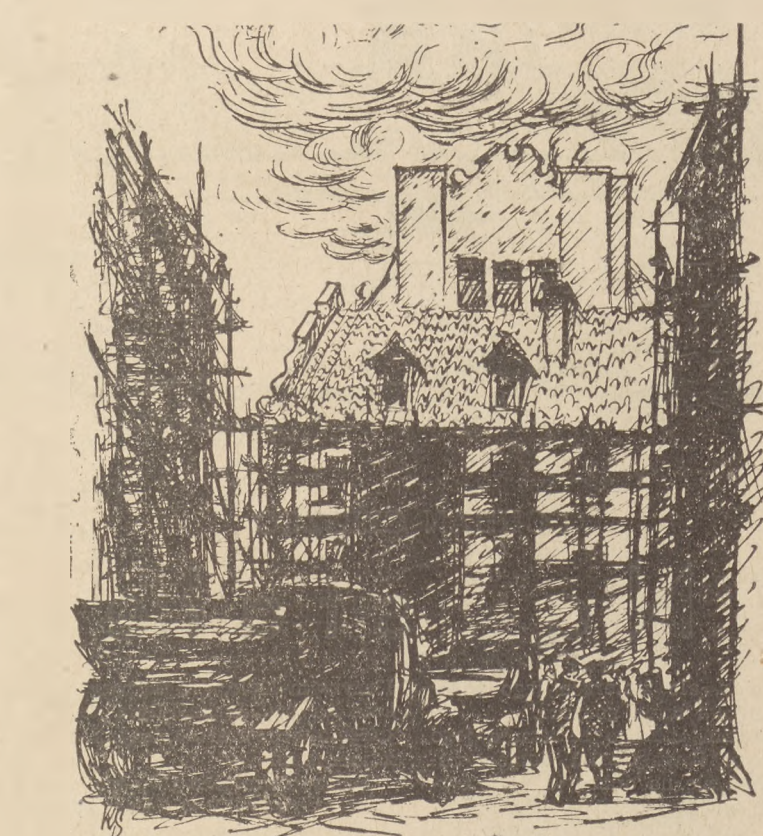
Po stronie Kollataja, który umarł tu w domu u swego przyjaciela Bleszyńskiego, stronie zwanej jednak przeważnie „fukierowską”, prace są już niemal zakończone. Jeszcze tylko apteka, trochę szczegółów u Książąt Mazowieckich i prace brukarskie. Dlatego majster Stanisław Baran z tego odcinka wspomina cztery lata swojej pracy na Ryнку jak wygraną bitwę. Cała jego terminologia w tym opowiadaniu jest zresztą strateg cznowojkowa. Nawet kończąc powiada: „A teraz to nie ma już szerokiego frontu, tylko prace wykończeniowe, to i z nowymi normami pokazać się trudno”. Co do tego myli się nieco. Na tablicy czytamy wyraźnie — Grzełński 350 proc., Chojnacki — 280 proc. i tak dalej, wysoko ponad sto, a na tablicy bumelantów — pusto. No i w dniu, w którym rozmawiałam z majstrem Baranem, kielnia przodującego zespołu przeszła w jego ręce. Ale przed czterema laty było tak: „Przerwalismy się najpierw przez Świętojańską, a potem do kolejki koło Piekarskiej, żeby wywozić gruz”. Była go, zdawało się, niekończąca się ilość. Ptem przyszły roboty rozbiórkowe i zabezpieczające, trudne i niebezpieczne. bo chodzilo o to, żeby zabezpieczyć każdy ułamek muru zdalny jeszcze do wykorzystania. Wyma-

galo to dużo cierpliwości, pomysłowości i czasu. Zastrzyki z cementu, pierścienie i inne pomysłowe historie trzeba było stosować w każdym wypadku inaczej. Najmudniejsza, najtrudniejsza część pracy rozegrała się jednak pod ziemią. Trzeba było oczyścić piwnice i nieraz je przebudować, oczyścić z późniejszych architektonicznych naleciałości i dostosować do ich przyszłych celów. Tak m.in. przebudowano piwnicę przy Ryнку 21, gdzie mieścić się będzie gospoda „Pod Bazyliżkiem”.

Często trzeba też było zmieniać fundamenty, aby w starych domach mogły się pomieścić nowoczesne

za, ale i stosunkowo najłatwiejsza — wznoszenie elewacji.

Mieli wprawdzie w tym okresie i swoje wielkie radości. Znalezione rękopisy Żeromskiego i wielką ilość jeszcze nie rozpoznanych dokumentów archiwalnych. Odkryto i zabezpieczono stare, nieznanne freski. Odkopano stare studzienki dębinowe. Natrafiono na nową linię murów obronnych i starą basztę przy ulicy Celniej. W murach tych znalazły się działobitnie z czasów szwedzkich. Gdy majster Baran mówi o tych znaleziskach, głos jego drży z emocji, czy aby dobrze rozumieć jakie to było ważne. Kiwał głową, ale maj-



Na Zapiecku pracuje brygada młodzieżowa ZMP

urządzenia, takie jak kotłownia do centralnego ogrzewania itp. Była to bardzo trudna, groźna zawałaniem się ścian, precyzyjna robota. I kiedy punkty wielkich budów Warszawy i zobowiązani lipcowych przeniosły się na Plac Dzierżyńskiego, na MDM, pracownicy Starówki pogrążyli byli w nieefektywnej, uciążliwej, lata całe trwającej pracy, po której dopiero nastąpić mogła część najefektywniej-

ster Baran raz jeszcze zaczyna; „rękopisy Żeromskiego...” i zawieszają głos w oczekiwaniu. Muszę powiedzieć parę słów, aby uspokoić jego niepokój, że wiem, że rozumiem. Dopiero wtedy następuje między nami coś jakby porozumienie. Majster Baran zaczyna szybko mówić, że przecież o tej pracy można by opowiadać godzinami, tylko nie ma czasu. Od dwóch lat nie był na urlopie, teraz pracuje

Ci nie odejda

(Dokończenie ze str. 1-jej)

lecz co? Dobrze, że mieszkaniem otaczał zająć się Teichma; organizator ZG powinien wreszcie coś wskazać.

Reszta chłopców? Kawalerowie, mogą chwalić sobie nawet i żółko w hotelu. Ba, i on dwa lata temu nie zawracalby sobie głowy tym wszystkim — teraz m. d. al. o rodzinie. Zresztą i tak znieśli już dość przez te sześć miesięcy zawodów, zawodziowych nadziei. Pozostała tylko połowa pierwotnego składu brygady, reszta „wykruszyła się” na trudnościach. Ot, zrobić tak jak Edek Pabiś, który przeniósł się do PPW i zaraz dostał mieszkanie; może i nie słusznie „anili go, przecież z Nowej Huty nie odszedł... Biurokratyczne niedołęstwo i tyle: w ZMP, które na czas nie przygotowało Nowej Huty na przyszłość, o ochotników zaciągu pionierskiego, u Wojtasowa, diabli wiedzą gdzie!

A oni nie odeszli przecież, choć burzyła się cała brygada, gdy brak dostaw położył front robót na łopatkach. Tylko Wańczyk i Orzechowski, którzy chcieli dużo zarobić, a mniej robić — ci cieszyli się, że mogą puseczka kolećka z dymu. Wtedy jeszcze poszli pomagać na siłowni, ale teraz? Zdać się, że trzeba będzie przegnać ich z brygady. Zresztą mniejsza o nich.

Dopiero teraz potałał się, że Osipowicz mówi coś po cichu, widocznie do niego.

„Żebym się tego spodziewał — ale wcale nie myślałem. — Co mówisz? — List dostałem.

No tak, brygadziśta ma takie same kłopoty. Patrzył mu przez chwilę w oczy, potem bez słowa wyciągnął z kieszeni pamiątkę pocztową. Osipowicz odwrócił ją w dłoń: „...jeżeli w ciągu miesiąca nie zależą ci się wreszcie z mieszkaniem, sprowadzam się z dzieckiem i gratami. Niech się dzieje co chce”. Pokiwał głową ze zrozumieniem.

— Janek!

Tarkowski wspiał się już do prześwi, wymachiwał ręką. Serafin wyjął kartkę z ręki przyjaciela. Na zachodzie pęczniącą ławica chmur zgasła czerwona tarcza słońeczna.

4

17.05. Notatki Dyżurnego Dyspecera: „Ten dla ZB-4. OZ.”

19.17. Główny Dyspecer do Pogotowia Elektrycznego: „Jest uszkodzenie na podstacji, wysłajcie zaraz ekipę. Burza już przeszła.”

22.00. Komunikat meteo dla potrzeb budownictwa przemysłowego: „napływający z zachodu klin

niżowy utrzyma się przez dłuższy czas, zasilany masami powietrza morskimi. W dalszym ciągu opady, w ciągu nocy spadek temperatury do około 13-15 stopni. Jutro bez większych zmian, deszcz.”

20.25. ZB-4 do Głównego Dyspecera: „Brygada Osipowicza z turbodmuchaw została na stanowisku. Ciągłe mamy deszcz, czekamy aż ustanie. Przydałoby się jeszcze ze dwa reflektory, kiedy się wypogodzi.”

21.10. Notatka Dyżurnego Dyspecera: „Reflektory. OZ.”

5

— Na pałacu Kultury i Nauki mają pasy łańcuskowe. Widziałem w lutym — powiedział Osipowicz. — Pewnie, to co innego. Wytrzymałże ci się znuć. Bezpieczniej.

Za oknem baru tańczyły w atramentowej czerni drobne kropelki deszczu. Woda spływała leniwymi strugami po szybach. Ulewa przeszła równie szybko jak nagle, ciałła na skrzydłach burzy i ustąpiła miejsca dokuczliwej mżawce. Michałski rozplaszczyl nos na zimnej szybie.

— Ja idę — oświadczył. — Można zaryzykować. I tak spanie diabli wzięli, a zobowiązanie czeka.

— Pójdiesz, Tarkowski? — zapytał Kazek Holik, dawny praktykant kolejowy, rodem z Bochni, — Będziemy czekać?

— Mogę zwrócić — mruknął ponuro Tarkowski.

— No to walimy — zdecydował brygadziśta. — Zależeli reflektory, jasno jest.

Obliczał w myśli: szesnaście procent założeń planowej mieli z rana, ciągnęli z całej siły, powinna zmniejszyć się o sześć, może nawet ośm procent. Dwadzieście procent dziennej normy, sto podzielić przez dwadzieścia pięć... No tak, może nawet ośm. Jutro powinni nadgonić harmonogram i skończyć wreszcie z tymi „turbodmuchami”, które im tyle napłyły zdrowia. Żeby nie te dostawy, mogłoby teraz spokojnie spać i mieć wykonane zobowiązanie.

Wyszli na dwór, zapinając szesnaście drelichowe kurki. Było wyraźnie chłodniej, na szczęście wiatr dmuchał słabszymi, urywanymi falami, ciskając w twarz klujące igielki mżawki. Reflektory na obiekcie rzucali w niewidoczne niebo żółtawe, mgliste spony światła, dobywające z mroku widmowe zarysy prześwi.

Osipowicz poszedł pierwszy w stronę obiektu, za nim reszta chłopców, długim, rozciągniętym szeregiem. Z tyłu ktoś klął dosadnie psią pogodę — ale szli wszyscy. „Gdyby powiedział nam ktoś na jesieni o robocie w taką porę, ład-

nie by wyglądał” — pomyślał brygadziśta. Może to chłód przywrócił mu myśli jasność. Nikt nie powiedział ani słowa, dla czego trzeba zostać — od dawna rozmawiali się o samo przez się. Hala turbodmuchaw musiała być oddana na czas. Musiała być, nie tył o dlatego, że żądały tego fioletowe, niezrozumiałe linie harmonogramów, ale dlatego, że bez turbodmuchaw nie mogły ruszyć wielkie piece. Było to więc prawo całej budowy — nie mogło być inaczej. Nie rozmawiali zresztą z reguły na ten temat, a nigdy tak, jak pisał któryś z dziennikarzy: „...plan sześciotnie... świadomi naszych zadań”. Nie potrafili rozmawiać — oni c z u l i.

— Osipowicz — Serafin dogonił go, lekko zdyszany. — Dwóch nie ma. Odeszli.

— Został jedenastu — mruknął przez ramię brygadziśta. — Kto uciekł?

— Kombinowani...

A więc nowi, ci, którzy nie zrośli się jeszcze z kolektywem. Trzeba było pogadać, powinien był to zrobić.

— To trudno — powiedział szorstko.

I druga myśl: czy warto było mówić? On sam przecież... Rankiem jeszcze ogarniało go, po raz nie wiadomo który, to zniechęcenie, paraliżujące niebezpieczniej od tępego bólu w mięśniach. Nie przezwalał tego zmagania z własnym poczuciem obowiązku, z samym sobą — a przecież zaczynał pojnować, że nigdzie indziej, tylko w tym zmaganiu właśnie kryła się treść walki o tytuł pionierów. Był krzywdzony, czuł się krzywdzony, miał powody do takiego sądu. Więc co? Czy miał postąpić tak jak ci dwaj „kombinowani”, albo jak Pabiś, który wybrał lepszy chleb w PPW? Tu była jednak budowa — pokochana jak własny dom, bliska jak własne myśli.

Trzeba się więc być choćby zacinając zęby.

— Tarkowski — powiedział, próbując nogą śliskiego szczebla drabinki. On odpowiadał za ludzi. — Ty i Serafin pójdziecie ze mną na szście przeszło. Kajtek i Holik — będziecie kończyć czwarte. Uwaga na pasy, żadnych wygłupów na górze!

Deszcz przeszył mgłą, chłodną falą, coraz słabszy. Reflektory pojaśniały. Brygadziśta przepuścił Serafina; Tadek Tarkowski zresztą przerzucił się na górę przez stalową belkę i zastukał młotkiem w odpowiadającą dźwięcznie stal. Osipowicz przeknął przez pas zatrząsk liny bezpieczeństwa i szybko, swobodnie zaczął piąć się ku towarzyszą.

Tadeusz Kurek



„Maly Wawel” w podwórzu domu Fukiera

po 18 godzin, aby skończyć na czas. Lubi literaturę, a tu jest o czym pisać. Materiał na całą powieść. Więc może jak dostanie urlop, to napisze pamiętnik.

Pytam o jego dzieje. O sobie mówi jak najkrócej: przed wojną murarz warszawski, w czasie wojny walczył w Kampinosie. Po wojnie znowu Warszawa. Był murarzem na Wuzecie, potem przeszedł na Starówkę. Został brygadziśtą, później majstrem. „Nauczyłem się tu takich rzeczy, jakich nie można nauczyć się na innych budowach i nauczylem się...” zaczyna się lekko i nie kończy. Ale wiemy oboje, że nauczył się tu jeszcze miłości dla tradycji narodu.

Takich ludzi jak majster Baran wielu jest na Starówce. Rośli z nią razem, zdobywali kwalifikacje, są tacy, którzy już w czasie budowy poszli do Technikum, a potem wrócili tu właśnie pracować dalej. A większość wychowała Starówką na świadomych twórców i opiekunów kultury. Toteż, gdy pytam o trudności z ludźmi, majster Baran kręci głową z zakłopotaniem, że nie może mi nic ciekawego powiedzieć. „Bo wiecie, teraz u nas to jest element uświadomiony” — powiada, a rozmawiając z wielu innymi ludźmi, muszę przyznać, że ma rację. Bo oto chłopcy z brygady młodzieżowej Brudzińskiego pracujący przy poczcie na Zapiecku kończą już swoją robotę i stają się brygadą szturmową przesyłaną na zagrożone odcinki. Brygadziśta Brudziński frasobliwie kręci głową na pytanie o Technikum. Mogłoby już dawno pojsć, ale polasił się na wyższy zarobek. Teraz rozumie i tej jesieni już pójdzie. Idzie także Grzełński, którego ojciec pracuje też na Ryнку i wyrabia 350 proc. nowej normy. W zeszłym roku dostał Krzyż Zasługi. Pochodzą z Włocławka, ale po wojnie osiedli na Brzozowej i na dobre przyłączyli do Warszawy i — do Starówki. Starzy weterani Zygmunta, Olszewik, Pelda, Kaczmarski i inni pomagający młodszemu, mniej wyrobionemu we właściwym pojnowaniu pracy.

OSTATNIE CHWILE

Z nieba leje się żar, jest czas urlopów, ale ulicą Świętojańską nieprzerwanie suną ludzie na Rynek. Tu nastroj już odświętny i ruch inny nieco niż zazwyczaj. W tłumie ogładających wiele znajomych twarzy, to załoga eprowadza znajomych i rodziny. Prędko jednak przybylsze zostają osamotnieni, bo oto kilku towarzyszy z pracy już się gromadzi razem i zaczyna ożywioną dyskusję, co trzeba zrobić jutro? Ogładający więc na własną rękę wchodzą do wąskich sieni, czy też gapią się z zadartymi głowami na nowe zdobienia na frontonach. Jakiś tatuś z synkiem na barana podryguje w takt



W niedzielę na Ryнку Staromiejskim

poleczki płynącej z megafonu i objaśnia żoncie, że na Fukierze to pas słucki, obok jakiś młody chłopak przechwala się towarzyszcze, że potrafił jej powiedzieć historię każdej kamieniczki i natychmiast myli Szlichtyngów z Baryczkami, dalej ktoś głośno triumfuje — a mówił przecie, że Rynek ładniejszy od MDM! Chędną, komentują każdy szczegół — a przede wszystkim nowe zdobienia fasad. Nie wszystko się podoba — ogólna opinia załogi i spacerowiczów twierdzi, że najładniejszy jest Fukier. Jeden z domów już schie zdobył przydomek „piegowatego”, inny „pgrzebowego”. Którę to są — zostawmy demyślności widzów. Nie podobają się na ogół ciemne tynki, lecz krytyka pełna jest jednak życzliwości i szacunku dla wysiłku artystów, choć owe spory estetyczne są niemniej zażarte niż dyskusje o terminach i metodach pracy. Najważniejsze jest jednak to, że przecież odbudowano Starówkę i będzie bardzo ładna. A jej patriotki powtarzają głośno i z dumą: Gdzie tam MDM-owi do naszego Ryнку.

Wanda Leopold

NOWOŚĆ

Janina Broniewska

Z notatnika korespondenta wojennego

„Ci, którzy znają obóz sielecki nie tylko z opisów — przeczytaj książkę ze wżuszeniem jak swe najbardziej osobiste wspomnienie. Tym, którzy uwalczyli w kraju, słuchali ucieki o zbliżającej się wraz z frontem polskiej, ludowej Armii książka pomoże zobaczyć tamte dni i sprawy. Najmłodszym spośród czytelników pomoże zrozumieć i odczuć głęboko narodowy Wejście Polskiego.”

(„Nowa Kultura” nr 19 z dn. 10.5.53)

Str. 518 Zł 14,50

WYDAWNICTWO MON

k 12727-1

LEOPOLD LEWIN

Żołnierska droga

Poemat nagrodzony na Konkursie Wydawnictwa Ministerstwa Obrony Narodowej i Związku Literatów Polskich



MARIANOWI BUCZKOWI DEDYKACJA

Gdyś po nocy więziennej przyszedł pod Warszawę
I nad miastem otwartym tuny ujrzał krwawe —

Jak żołnierz u rogatki stanął na warcie,
By własnej krwi strumieniem powstrzymać natarcie.

Kochałeś każdy skrawek, bombami rozbity,
Z więźnia stanu — obrońca Rzeczypospolitej.

I poległeś jak żołnierz — i z twojej krwi powstały
Bataliony mścicieli, zwycięzców oddziały.

Tobie poświęcam drogę polskiego żołnierza —
W jego piersi two serce uderza.

NAD OKĄ

Szli czwórkami. Żołnierski
Śpiew szybował wysoko.
Witaj, brzegu braterski!
Witaj, lesie nad Oką!

Namiot koło namiotu,
Bieleją równe rzędy;
Orzeł rwie się do lotu
Na dźwięk polskiej komendy.

Stoi wiara sielecka —
Ochotniczy werbunek.
Ziemio, ziemio radziecka,
Przyjmij pierwszy meldunek!

Hej, zielone mundury
I plastowskie orzelki!
Idą, idą piechury
W rytm żołnierskiej piosenki.

Karabin celnie strzela,
Wystrzał huczy po lesie —
Siał i trud przyjaciela
Zwycięstwu ci przyniesie.

Do późnej śleczal nocy
Tokarz z Tuły czy z Ufy,
By dla ciebie wytoczyć
Magazynki i lufy.

Dzisiaj słuchasz wykładu
O sekretach oręża —
Obrońca Stalingradu
Uczy, jak się zwycięża.

Żołnierskich dusz inżynier,
Oficer polityczny,

Roztacza tu w gęstwinie
Krajobraz historyczny.

Wynurza się ojczyzna
Z gorących słów i marzeń —
Radosna wschodzi widzą:
Lud — kraju gospodarzem!

W nocy szumi i cienie,
I sen z jawą się spiera —
Oczy kiel zmęczenie,
Tęsknota je otwiera.

Wydma... Sosny i krzaki.
Mile sercu spotkania...
Czy to sny czy majaki?
Z marzeń dom się wylania.

Powróćisz w jego progi
Przez krew, ogień i burzę,
Bo nie masz innej drogi
Na dzieciństwa podwórce.

Drogo, drogo jedyna!
Krwawa droga powrotu!
Szumi sosen gęstwiną,
Namiot koło namiotu.

Na tym brzegu piaszczystym,
Rozkołysany pieśnią,
Namiot — domem o zystym,
Utraconym we wrześniu.

Pieśń!... Rzeko!... Ojczyzno!...
I skowronek — wysoko.
Hej, dyszało polszczyzną
Pod sosnami nad Oką!

PRZYSIĘGA SIELECKA

Przysięgam polskiej ziemi, która pod obuchem
Trwa — nie ujarzmiona!
Wierzbie, która nad Wisłą macierzyńskim ruchem
Pochyla ramiona;
Ulce, która drzewom warkocze zaplata,
Nucąc piosenki,
I oknu, które było dla mnie sercem światła,
Gdy był małeńki;
Przysięgam narodowi polskiemu, co w ranach
Nie wyda jęku,
Przyjaciół, co giną, lecz nie na kolanach —
Z orężem w ręku!
Braciom, których kryjówką i dachem nad skronią
Jest bór odwieczny,
Wszystkim, którzy kochając Polskę walczą o nią —
O dom serdeczny —
Przysięgam, że po trupach wrogów do niej wrócę
I jej nocom sen błogi, dniom uśmiech przywrócę.

Ziemie radziecką stawię, do wczoraj bezbronny,
Gdy po broń sięgam,
Ziemie tej winien jestem wdzięczność — dług dozgonny
Spłacać przysięgam;
Armie Radziecką sławię — gwiazdo rubinowa
Na furazercie,
Przysięgam, że braterstwa broni ci dochowam —
Do, óki bije serce!



W MARSZU

Przez wadoły rozkłęś,
Przez bagniste oczyszczal
Szły pod niebo ogniste
Bataliony i pułki.

Ciężkie marsze... Postoje...
Błyskają karabiny...
Po armatach — wyboje,
Po czołgach — koleiny.

Droga szła przez wykroty,
Przez las gęsty i parów —
Inne tutaj namioty:
Z listowia i konarów.

Chłodne świty... Mży rosa...
Błocko pod stopą miłaska...
Patrz! Za drzewami szosa —
Witaj, szoso warszawska!

Szoso, drogo strzelista,
Do Warszawy nas prowadzi!

Gdy noc ciemna i mglista,
Jak dobrze maszerować!

Po obu stronach drogi
Martwych domów kikuty.
Tam, gdzie pierzchają wrogi —
Linia twojej marszruty.

Wita gdzieś tam wojska
Osamotniona brzózka —
Jakżeś bliska i swojska,
Równino białoruska!

Kto zagrał twój spokój,
Łagodna Białorusi,
Kto w kajdany cię okuł —
Krwawo zapłacić musi.

Naprzód — w bramę smoleńską,
W bliski nad horyzontem!
Nawałną zwycięską —
W łunę, w łunę nad frontem!

Hej, Wisło, modra rzeko
O rozwichrzonym brzegu,
Pięknaś pod powieką
Na dalekim noclegu!

Wisło, rzeko szumiąca
W okopie pod Madrytem,
Twój szum o serce trąca
Wzruszeniem i zachwytem!

Skąły się blisko jeża,
Z dala — zamek janowski.
Na brzeg pod Kazimierzem
Przywiodł ich Rokossowski.

I rozgorzała walka
O Wisło, o Warszawę:
Puławy, Dęblin, Warka —
Przyozdobione w sławę.

Pierwsi stalingradzcy
Wyszli na brzeg zachodni —
Brzegu polskiej stolicy,
Któż był godniejszy od nich?!

Teren z lekka fallsty,
Krzewem porośnięty,
Czołg polskiego czołgista
Z zieleni się wynurza.

Przyczółek coraz szerszy,
Pancerną słychać wrzawę —
Tu rozegrał się pierwszy
Bój o wolną Warszawę.

Rzeko, jakżeś nam bliska!
O Wisło — matko dobra!

LENINO

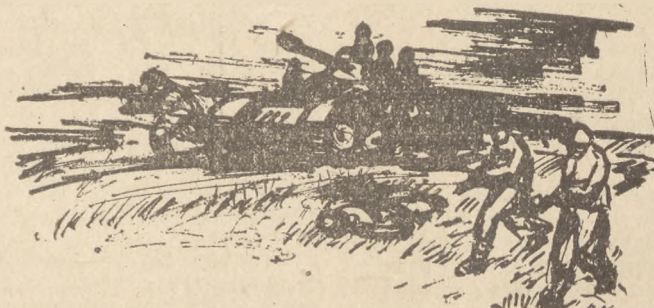
Młodzutki ochotniku, co w strzeleckim rowie
Na linii w gorączkowym czuwasz niepokoju!
Świt już blisko... To będzie świt wielkiego boju —
Żołnierz polski o świecie ważkie słowo powie.

Rodzinna strzechę zmiotła we wrześniu pożoga,
Ciebie wyrwała z gniazda —niosła cię droga
Przez wyludnione miasta, zarosłe wertepy,
Wyschłe rzeki pustyni, urodzajne stepy —
I przywiodła pod wzgórze, na pobojuwisko,
Na zryte pociskami, spalone ściernisko,
Na którym kościuszkowcy, owinięci w płaszcze,
Drzemią czujnie — aż wystrzał alarmu zakłóci.

Dzień się we mgle obudził. Kiedy mgła opadła,
Ujrzałeś żółtkie krzaki, zielone mokradła,
Opustoszałe wioski, wadoły, wykopy
I za rzeką na wzgórzach niemieckie okopy...
Musiałeś dzisiaj zdobyć żołnierz kościuszkowski —
Przez nie prowadził droga do rodzinnej wioski,
Do matki, która czeka, do miłej dziewczyny...
Cóż, że warczą pociski i pękają miny!

Widziałeś, jak poderwał się Pierwszy Batalion,
Aby rozpoznać wroga przed bliską batalią.
Chłopcy jak na paradzie szli wyprostowani —
Niezachwiani, zwycięską wolą hartowani.

Potem padły rozkazy — polski i rosyjski —
I chlusnął deszcz stalowy — szturm artyleryjski
Miażdżył wrogie zasieki, zapory druzgotal,
Do ataku za murem ognia szła piechota.
Jedno skrzydło — Polzuchy, drugie — Trygubowa,
I huraganem wali piechota szturmowa,
Już wdrapują się czołgi wzgórzom na ramiona,
I znów piechota zrywa się — niezwyciężona!



Bieglście za dowódcą. Zar. Wyśnieńcie gardła.
Nagle się krwawa przepaść przed wami otworzyła
I zginął twój dowódca. Radziecki oficer,
Wyrósłszy przed szeregiem z pistoletem w rękę,
Poprowadził was dalej wśród ognia i szczerku
Na wrocie umocnienia, w okopów ulice,
Gdzie kipiało powietrze i jęczała ziemia...
Nie zawiodła w twojej dłoni przyjacielska broń,
Gdy w loskocie i świcie padały na przemian:
Ognia!
Agoń!

Kapitanie Paziński! Widzisz, jak naciera
Za tobą twój batalion przez wyrwy i leje,
Jak rozwija natarcie wielka tyraliera,
By runąć na łby wrogom, zaszytym w transzeje.
Cóż to? Chwiejesz się... Bledniejesz... Przed samym okopem
Padasz na ziemię — wicherem zwałony drogowoskaz —
I widzisz jeszcze, widzisz mgłą zasnutym wzrokiem,
Że chłopcy wykonali twój ostatni rozkaz.

Cóż wybuchy pocisków, nawała ognista,
Gdy najmocniej w zwycięstwo wierzy komunista —
On nie waha się w boju, przed śmiercią nie cofa,
Bo wysnioną ojczyznę jak wierny syn kocha.
I dosięgnął go w biegu śmiertelny ładunek,
I zginął Kalinowski, lecz dowiózł meldunek.

Aniela Krzywoń! Jakże cię boleć musiało,
Gdy ogień zajął mundur i trawił twoje ciało,
Gniewny, żeś mu wydarła sztabowe papiery —
Krew twoja, fizylierko — dawne bohaterki!
Tobie, dziewczyno miła, gdy nas już nie będzie,
Lud pieśni będzie składał — ożyjesz w legendzie!

Już noc październikowa spływa na Mierzeję,
Zapalają się błyski zielone i gasną —
Tam za rzeką na wzgórzach — orężem, krwią własną
Pisali kościuszkowcy narodowe dzieje.



NAD WISŁĄ

Twój nurt błękitem błyska,
Mazowska wstęgo modra!

Po jednej — Polska żywa,
Po drugiej — mord i zdrada.
Stolica dogorywa —
Zdradzona barykada.

Rwali się do niej nasi,
Fale ich przenosiły,
By pożary ugasić,
By życie tchnąć w jej żyły.

Żołnierz odrażony,
Two rozpacz wiek przechowa!
Krwawili — aż padł — zdradzony
Przyczółek Czerniakowa.

Od wolnej strony praskiej
Widać dymy, płomienie.
Płoną domy warszawskie.
Zagłada, Mrok, Milczenie.

Wisło, najmiłsza rzeko!
Święte pogorzeliśka!
Łzy niewylane piękna,
Ręka żelazo ścisła.

Przeprawa za przeprawą!
Ostatni grom wystrzelił.
Przyjmij, dumna Warszawo,
Defiladę mścicieli!

Ból i radość żołnierską
Przekażcie polskiej ziemi!
Zdradzone bohaterstwo.
Mury — świadkowie niemi.

WAŁ POMORSKI

Na zachód przez Sepolno,
Gdzie lśnią jezior topleje,
Słowiańskim ludom wolność
Niosą wyzwoliciele.

Co chwila błyski gromów
Las rozwidniają ciemny,
Zagradza mur z betonu
I bór wysokopienny.

Tu każdy krzak — fortecą,
Twierdzą — każde zarosłe,
Z gąszczów jak pszczoły lecą
Płomyki śmiertelności.

Gradowym ogniem złoną
Wawozy i jaskinie.
Wstążeczką postrzępioną
Zdrój szemrze po dolinie.

W dolinie Pierwsza Armia
Na północ szturm rozpocznie.

Runęła i przedarla
Groźny łańcuch umocnień.

Wśród jezior, w leśnej gęstwie
Prą naprzód nieustraszone,
By w Kolobrzegu skruszyć
Obrońne trzy pierścienie.

Nasze orły nad nimi
Ramiona rozpostarły.
Wybuch mostu zadymił.
Słup się wzbił pożarny.

Na port, na stare śpichrze
Szkwały ognia uderza.

Przybądź, baltycki wicherze,
Ochłódź skronie żołnierzom!



ZAŚLUBINY Z MORZEM

Gdy na brzeg morza wypadli światem,
Zastygli oślepieni,
Bo jeden błękit z drugim błękitem
Powłazał pęk promieni.

Na brzegu dudnią odległe grzmoty —
Morze czy działo huczy?
Z dala wsiakają w mgłę samoloty —
Smugi żurawich kluczy.

Baltyk migotał i bryzgłom fal
Zilżywał płach na plaży.
Gdy garścią chłodnej wody zmywał
Proch i zmęczenie z twarzy.

Tym ruchem przyłączyli do Polski
Brzeg, porty i bursztyny.
Zerwał się wicher — to salut morski
W żołnierskie zaślubiny.

NAD ODRĄ

Tu — jak nad Wisłą — krzaki,
Tu — jak na Wiśle — modro.
Frunęły dżiki ptaki
Z sitowiska nad Odrą.

Iskry się w słońcu rzeka,
Wędrowną falą się mieni.
Szła do ciebie z daleka,
Natarciem uskrzydleni.

W stare plastowskie bramy
Wiódł ich sławny generał —
Tu jak przez nurt Jaramy
Prowadził trakt Waltera.

Znów za rzeką — faszysty.
Przez rzekę niesie seria.
Za chwilę wyraziście
Przemówi artyleria.

Nie ostaną się schrony,
Nie wytrwa żaden okop,
Gdy runie rozwścieczony
Artyleryjski potop.

Ciechną działa, moździerzle.
Stygna płachy, kamienie.
Pierwsi w boju żołnierze
Wbijają słupy w ziemię.

Słupy z orłem, napilem:
Rzeczpospolita Polska.

Tak przez Odrę i Nysę
Przeszły na zachód wojska.

W BERLINIE

Sława dni tych nie zginie,
A dni to były krwawe,
Gdy padały w Berlinie
Okrzyki: Za Warszawę!

Dom za domem się walił,
Dygotało powietrze,
Gdy się w młasto wdzielali
Skokami — metr po metrce.

Na Reichstagu runie
Wśród dymiących rozwalli
Gwiazdźdźisty żołnierz imię
Wyrył najdroższe — Stalin.

Wdzierali się w śródmieście
Poprzez kamienne tany,
Aż spotkali się wreszcie
U Brandenburskiej Bramy.

Jedni gwiazdą znaczeni,
Drudzy — orłem skrzydlatym;
Wyszli z dymu, z płomieni,
By się spotkać — brat z bratem.

Padli sobie w ramiona,
Długo trwali w uścisku —
Drogo, krwią wytoczona!
Drogo w pożarów błysku!

Z ognia, z ruin, z oparów
Nad kolumny i schrony
Wśród czerwonych sztandarów
Wzbił się — biało-czerwony!



PRZESŁANIE

Kwiaty wdzięczności na kopczykach mogił
Rosną wzdłuż całej drogi.

Ze promień światła do domów przynieśli,
Żyją w sercach i w pieśni.

A wnuk daleki, gdy ich drogę wspomni,
Ujrzy — byli ogromni.

Ilustrował I. CELNIKIER

ANDRZEJ MANDALIAN

Majakowski i nasze spory

W 60-tą rocznicę urodzin wielkiego poety

... imię — Włodzimierz...
... rok i miejsce urodzenia — 7 li-
pca 1893 r...
... budowa — średnia...
... ucho — obłe...
... szyja — cienka, długa...
... trzyma się swobodnie...
... chód równy, duży krok...
(Z karty ewidencyjnej ochrony car-
skiej).

Krok miał rzeczywiście du-
ży.
Na wołanie: — wasze
wiersze są niepotrzebne,
jutro o nich zapomną —
zwykły był odpowiadać: —
wpadnijcie za tysiąc lat, pogadamy.
Od czasu takich odpowiedzi mi-
neło około ćwierćwiecza, ale od lat
błisko czterdziestu toczy się zażarta,
nieprzerwana dyskusja wokół tego
olbrzymiego zjawiska poetyckiego,
któremu na imię Włodzimierz Ma-
jakowski.



Majakowski wśród młodzieży

Majakowski przywrócił poezji
prawo mówienia pełnym głosem, a
głos ten — to szczyt, to pełen
ból, głos, od którego wiało naj-
prawdziwszym ciepłem ludzkim i
nieodpartą siłą rewolucyjnego pa-
tosu — niósł tyle pasji, urzekł ta-
kim bogactwem wyrazu, że nie ma
chyba ani jednego wybitnego poety
współczesności, w którego wiers-
zach nie odnaleźlibyśmy echa po-
tężnego, wielkiego głosu Majakow-
skiego.

Polemika toczy się wokół zagad-
nienia jego tradycji.
Jak iść drogą rewolucyjnej poez-
ji, drogą Majakowskiego — jedno-
cześnie utrzymać się od sprowadzania po-
jęcia tej tradycji do naśladownic-
stwa?

Co w twórczości wielkiego poety
było indywidualną właściwością je-
go poetyki, a co podlegało ogólnej-
szym prawom, odkrytym przez nie-
go? Jaka jest istota nowatorstwa
jego poezji?

Trzeba przy tym zaznaczyć, że
często próby ahistorycznego ujęcia
twórczości poety, próby przenosze-
nia osiągnięć Majakowskiego z o-
kresu dojrzałości na przedrewolu-
cyjny okres twórczości zamazywa-
ły zagadnienia jego nowatorstwa.
A więc żeby rozwinąć sprawę
tradycji, należy postawić pytanie:
jaki był bieg rozwoju poetyckiego
Majakowskiego? Odpowiedź na nie
dają zarówno ostatnie prace ra-
dzieckie, jak dyskusja lutowa w
Związku Pisarzy w Moskwie.

WOŁANIE O WALKĘ

Jako poeta Włodzimierz Maja-
kowski wystartował razem z grupą
futurystów rosyjskich będąc ak-
tywnym członkiem tej grupy, w o-
kresie, który Gorki nazwał naj-
bardziej haniebny i najbardziej
bezwystydny dziesięciolecie w
historii inteligencji rosyjskiej. Był
to okres, w którym znaczna część tej
inteligencji po porażce rewolucji 1905
roku stoczyła się na pozycję skraj-
nego wstecznicztwa, okres panoszenia
się bladeńskiej literatury estetyzują-
cych mistyków i pornografów; bez-
ideowej, antyrewolucyjnej literatury
Mierziakowskich, Hippius, Sołogu-
bów, Arcybaszewów i innych głosi-
cieli „odwiecznej prawdy” — sztuka
dla sztuki, hasła, które chyba
najpełniej wyrażało jednoczący ich
strach przed rosnącym ruchem ro-
botniczym, przed rewolucją proletariacką.

Krytyka radziecka nieraz wska-
zywała na to, że futuryzm jako prad
ideowy był odbiciem ogólnego kry-
zysu kultury burżuazyjnej, był pro-
duktem rozpędu i gnicia sztuki
burżuazyjnej. Od innych szkółek
dekadentyzmu różnił się anarchi-
stycznym charakterem swego świa-
topoglądu.
Podobnie jak symbolizm żądał
wyzwolenia sztuki od ideowości, od
treści.

Krytyka radziecka nieraz wska-
zywała, że w zasadniczych ideolo-
gicznych i filozoficznych zagadnie-
niach futurystów starali na wspólnym
klasowym gruncie ze wszyst-
kimi przedstawicielami burżuazyj-
nego dekadentyzmu.

Majakowskiego, który miał za so-
bą szkołę politycznego podziemia,
związaną z rewolucyjną walką
klas robotniczych, pociągnęła do fu-
turystów ich pokazowa „antybūr-
żuzyjność”, pociągnęła „rewolu-
cyjność” negowania starej sztuki.

Wydawało mu się, że futuryzm to
swoiste laboratorium twórcze, to
poszukiwanie nowych środków wy-

razu dla nowej treści życiowej.
„Każdy okres życiowy ma swój
wzór słowny — pisał w tym okre-
sie. — Teraz rodzi się absolutnie
nowy cykl idei, wyrazić go może
tylko „słowo — strzał”.

Później, usiłując zrozumieć swój
błąd, Majakowski nazwie futuryzm
„wrzaskiem urażonej inteligencji”.
Ale na razie nie widać jeszcze tego,
że „antybūrżuazyjność” futurystów
nie jest skierowana przeciwko bur-
żuazyjnym stosunkom społecznym,
że ogranicza się ona do sformuło-
wanej przez Plechanowa „idealiza-
cji negowania burżuazyjnego spo-
sobu życia”.

„Istota rzeczy na tym polega —
pisał K. Simonow — że Majakow-
skiemu chodziło o rozbić form
społecznych — to najwęższe, że
futurysty i inne szkółki dekadenc-
kie byli właściwie przeciwni rozbi-

optymizmu poematu „Kocham”, jak
z tragizmu poematu „O tym” prze-
bija głęboko optymistyczna wiara
poety w to, że wszystkie osobiste
kłaski człowieka roztopią się w o-
gólnoludzkim szczęściu socjalizmu.

Pod wpływem wzrostu ideologicz-
nego poety, pod wpływem jego
twórczego rozwoju, a również pod
wpływem zjawienia się nowego cy-
klu twórczego odbiorcy, demo-
kratyzacji, masowego odbiorcy, demo-
kratyzacji się forma Majakowskie-
go. Podkreślił tu trzeba zaznacza-
jące się jeszcze przed rewolucją
przejście od ekscentryki do folklo-
ru, dalsze upracowanie rytmiki
związanej ze specyficznym stylem
poety, w którym łączą się patos re-
wolucji z satyrycznym demaskator-
stwem gnijącego świata, pogłębiając
pracą nad rymem, którego funda-
mentem staje się myśl.

„SERCE Z PRAWDĄ WE DWOJE”

Trzeci okres twórczości Maja-
kowskiego otwiera uderzający swo-
ją epicką skalą i siłą lirycznego
wzruszenia poemat „Włodzimierz
Iljicz Lenin”. Zastosowane są tutaj
nowe zasady odwzorowania wyda-
rzeń epickich, nowe środki budo-
wania postaci pozytywnego bohate-
ra epiki. Jest to poemat, w którym
realizuje się jedność osobistych i
kolektywnych uczuć.

Praca nad tym poematem to o-
stateczna krystalizacja światopo-
glądu, proces ideowego i artystycz-
nego bogacenia się. Uderza tu ogra-
niczenie ornamentacyjnych środ-
ków, odejście od dwiactwa, zwią-
zane z wprowadzeniem do wielkiej
formy nowych środków tworzenia
obrazu, znalezionych w procesie
pracy agitacyjno-propagandowej.

W tym ostatnim najbardziej o-
wocnym okresie twórczości powsta-
ją najlepsze utwory Majakowskie-
go, powstają takie dzieła, jak wy-
pełniony ideą nowego radzieckiego

patriotyzmu poemat „Dobrze”, w
którym temat rewolucji i budow-
nictwa socjalistycznego, cała wiel-
ka treść walki „wiosny ludzkości”,
Kraju Rad w pierwszych latach je-
go istnienia znalazła swoje najbar-
dziej pełne odzwierciedlenie poety-
ckie. W okresie tym powstają „Pe-
nym głosem” i inne wspaniałe
wiersze poety, powstają klasyczne
już dziś sztuki satyryczne — „Plu-
skwa” i „Łaźnia”, powstaje wielka
liryka Majakowskiego, u której
podstaw leży podporządkowanie
swojej sztuki sprawie ogólnej, u-
miejscotnienie łączenia swoich oso-
bistych uczuć z życiem i losem całe-
go kraju, liryka, której humanizm,
jakką bardzo mglisty i nieokreślony
w pierwszym okresie twórczości,
etapie się humanizmem socjalistycz-
nym.

Metafora, z ornamentacyjnej w
pierwszym okresie twórczości sta-
je się coraz bardziej logiczną, staje
się organiczną częścią pomysłu, nie
wymagającą odcyfrowania. Ciekawe
zmiany przechodzi hyperbola.
Dominanta stylu wczesnego Maja-
kowskiego, nosząca subiektywno-
uczuciowy charakter, podkreślają-
ca niezwykle napięcie uczucia, sto-
sowana w drugim okresie jako
swoista forma odbicia obiektywnej
rzeczywistości — ulega teraz ogra-
niczeniu, staje się tylko jednym ze
środków odbicia rzeczywistości.
Słownik poety wolny jest od ja-
kichś abstrakcyjnych norm este-
tycznych, określa go zawsze emo-
cjonalny strój wiersza, określa go
zawsze temat.

Majakowski wprowadza do poez-
ji całe bogactwo językowe nowej
rewolucyjnej epoki. U podstawy
tworzenia neologizmów Majakow-
skiego leży zawsze dążenie do u-
chwycenia nowych treści lub ich
odcieni, których stare słowa nie są
w stanie udźwignąć.

Należy podkreślić, że u podstaw
wszystkich indywidualnych osobi-
wości formalnych Majakowskiego
leży zawsze wysokie napięcie uczu-
ciowe treści.

„A TO COM ZROBIŁ TO WSZYSTKO WASZE: RYMY, RYTMY, DYKCJA, BAS”

Jak torowała sobie drogę wielka
tradycja Majakowskiego w począt-
kach naszej poezji powojennej?
Stwierdzić trzeba, że niewiele
pomógł w jej rozwoju znany arty-
kuł Ważyka z 1943 r., w którym a-
utor wyprowadzał nowatorstwo
Majakowskiego z futuryzmu, sta-
wiał go obok „pollinaire’a i Chleb-
nikowa”.

W artykule tym Ważyk nagradzał
futurystów epitetami w rodzaju:
„jaskrawa przekora”, „młodzieńczy
optymizm”, stwierdzał, że popisy
ich wnosili „ostry podmuch świe-
żego powietrza”, widział w nich
„zadatkę na sprzymierzeńców re-
wolucji”.

W artykule tym Ważyk formalnie
oddzielając Majakowskiego od fu-

co w okresie forsowania Gałczyń-
skiego na piewę „łagodnej rewolu-
cji polskiej”, w okresie wzmocnio-
nych tendencji prawicowo-nacjo-
nalistycznych w literaturze, było
próbą słuszną i ambitną.

„Wybór tradycji ma sens ideolo-
giczny. Poeci polscy wybierając w
swojej twórczości tradycję Wł. Ma-
jakowskiego jednocześnie wybiera-
ją całą rewolucyjną tradycję pol-
skiej narodowej poezji, poezji Mic-
kiewicza, Broniewskiego” — słusz-
nie pisał Woroszyński.

Należy podkreślić, że poeci, któ-
rych urzekała choćby formalna na-
wet strona twórczości Majakow-
skiego, studiując tę twórczość, w
większym lub mniejszym stopniu
odchodzili od naśladownictwa, prze-
trawiali wpływy przechodzili do
twórczego przyswajania jego trady-
cji.

A przecież przykład Broniewskie-
go czy Hikmeta świadczy o tym, że
właściwością rewolucyjnej poezji
Majakowskiego jest, iż pomaga ona
umacnianiu metody realizmu socja-



Majakowski w Rosta

WŁODZIMIERZ MAJAKOWSKI MARSZ URODZAJU

Urodzaj, ziemio,
daj nam,
by był potrojny plon!
Hej, plonie urodzajny,
prosimy do nas w dom!
Miał tego, by oddzielnie
obrabiać ziemi szmat,
w artele i w spółdzielnie
złączmy się — z bratem brat.
Z gruntami jest niegorzej.
Grunt taki, że —
w sam raz.
Lecz trzeba go pod zboże
zaorać, póki czas.
By więcej na przednówku
już nie doskwierał głód,
z przeklętą trójpółką
trza zrobić nam kaput.
Sabotażystów bractwu
my szukujemy kres.
Zmiećmy z pól kulactwo,

szarańczę, śnież i perz.
Niech słańców rupieclarnie
przetrzasznie każdy POM,
aby nie rdzewiał marnie
w deszczu traktorów złom.
Pod wiatrem pól ogromnym
szkolenie przedzie kraj.
Kolego agronomie,
pomocną rękę daj!
Już nie chce dłużej pole
złej gospodarki znieść.
Więc ruszaj, Komsomole,
w szturmowy marsz na wieś.
Skończymy z poniewierką!
Dość mamy kurnych chał!
W zawody idź z Ameryką,
Związku Republik Rad!
Urodzaj, ziemio, daj nam,
by był potrojny plon.
Hej, plonie urodzajny,
prosimy do nas w dom!

Przełożył Artur Sandauer



Rys. Karol Baraniecki

turystów sugerował, że ci ostatni,
„krusząc dawne rygory, obrazowa-
nia, składni, języka poetyckiego,
przygotowali grunt dla nowator-
skiej poezji Majakowskiego”.

A przecież stawiać Majakowskie-
go obok Chlebnikowa z jego teorią
„samoistności słowa”, tzn. słowa wy-
pranego z treści, słowa „poza by-
tem i korzyścią życiową”, stawiać
Majakowskiego obok Apollinaire’a,
z jego deformacją słowa i obrazu
realistycznego, znaczy nie wnikać
w istotę nowatorstwa Majakowskie-
go.

Niewiele pomógł tu również ar-
tykuł Woroszyńskiego z roku 1950.
„Batalia obok Majakowskiego” była
„batalią przede wszystkim o jego o-
siągnięcia formalne. Woroszyński
domagał się kontynuacji tradycji
wielkiego poety, wskazując na nie-
rozróżnialność jego treści i for-
my, ale w zapale polemicznym do-
magał się właściwie kanonizacji je-
go formy. Stawiał za wzór poezji
rewolucyjnej próby Brauna i Brat-
nego.

A próby te u Brauna były dość
nieszczyśliwymi próbami naśladow-
nictwa, u Bratnego zaś jeszcze bar-
dziej nieszczęśliwym nawiązywa-
niem do słabości wczesnej twórczo-
ści Majakowskiego. Cechowały
Bratnego i kosmiczność, i piętrze-
nie metafor, absolutnie niekoniecz-
ne dla upiększenia obrazu.

Samemu Woroszyńskiemu słusznie
zarzucano prozaizację, nieumiej-
ność poetyckiej organizacji publi-
cystycznego materiału. Poza tym za-
równo Woroszyńskiego, jak Bratne-
go cechowała zawsze ścisła
organizacja rytmiczna.

Dla wszystkich tych prób charak-
teryistyczne było niezrozumienie za-
eady zwiększenia wyrazistości sło-
wa poetyckiego, cechowała je
zmniejszona odpowiedzialność za
słowo. Jeżeli cech Majakowskiego
było organiczne przejście od potocz-
ności rozmowy do rozwiniętego pa-
tosu słowa lub pełnego zdania, je-
żeli cech Majakowskiego było
„słowo — strzał”, to naśladowcy
go poetów cechowała często proza-
izacja i czcza deklaratywność.

To się odnosi nie tylko do wcze-
snych prób, ale i do późniejszych
wierszy młodych poetów, w tej
liczbie do moich.

Była jakaś nieudolność w mecha-
nicznym przeniesieniu niektórych
cech poetyki Majakowskiego do
własnej twórczości.

A więc sprowadzenie w artykule
Woroszyńskiego nawiązywania do
tradycji Majakowskiego, do — u-
praszczenie sprawę — słynnych
schodków, zubożenie tej tradycji.
Mniej więcej podobne stanowisko
grupy radzieckich pisarzy zostało w
dyskusji określone jako sekciar-
skie.

Ale trzeba stwierdzić, że sprawa
ta u nas w praktyce miała nieco
inne przebieg, nieco inne znaczenie.

Trzeba stwierdzić, że próby for-
malnego naśladownictwa Majakow-
skiego szły u nas na ogół zawsze w
parze z próbą upartyjnięcia poezji,

listycznego we własnej twórczości,
oparcia o tradycję narodową; po-
maga też znaleźć swoiste cechy
własnej indywidualności.

Powtarzam właściwie rzeczy zna-
ne, ale powtarzam je, bo wydaje
mi się, że kiedy u nas ganiono (i
słusznie ganiono!) formalne naśla-
downictwo Majakowskiego, z tym
wszystkim utracono pojęcie jego
tradycji.

Bo przecież kiedy Jastrun mówił:

Odpieją ci żywcem,
Dziś!
Ja z dumy i z szacunku
twoich słów nie ruszę.

to obok słusznego protestu prze-
ciwko mechanicznemu naśladow-
nictwu Majakowskiego jest tu nie-
pogłębienie zagadnienia jego tra-
dycji.

Pochylić głowę i przejść obok?
Majakowski nie tylko był wielkim
poetą rosyjskim, lecz rozpoczyna i
stanowi całą nową epokę w rozwo-
ju poezji rewolucyjnej.

Nie będę tu robił analizy współ-
czesnej naszej poezji. Panosząca się
u nas pasywność poetycka, charak-
teryzująca się wyłącznie obserwa-
cyjną postawą poety, coraz częściej
zjawiający się na łamach pism li-
terackich nowy gatunek poetycki —
komentarz liryczny, komentator-
stwo zamiast poezji walczącej —
świadczy o tym, że zagadnienie re-
wolucyjnej tradycji Majakowskie-
go, przynajmniej w praktyce, przez
poetów nie zostało zrozumiane.

A więc tradycja Majakowskiego
dla naszej poezji to tradycja jego
wielkiej, ofiarnej pracy w służbie
mas pracujących. Tradycja Maja-
kowskiego dla nas, to niezłomna,
głęboka wiara w sprawę zwycię-
stwa socjalizmu, to jego patriotyzm,
jego niespokojny, jego gospodarski,
głęboko partyjny stosunek do rze-
czywistości, to poezja zaciętej wal-
ki ze wszelkiego rodzaju przeżytkami
starego, walki o nowego czło-
wieka, o nowe społeczeństwo. Czyli
to wszystko, co nazywamy p a r t y j n o ś c i ą p o e z j i .

I z całym naciskiem trzeba po-
kreślić, że poza tą tradycją nie ist-
nieje i nie może istnieć poezja so-
cjalistyczna.

Czy to znaczy, że my przedpodi-
my obok jego formalnych osią-
gnięć? Wydaje mi się, że nie zna-
czy.

Krytyka radziecka wskazywała, że
charakter jego poezji określało za-
danie — być agitatorom! — że szu-
kał on nowych środków poetyckich
własnie realizując je, i po to, by je
lepiej realizować. Dlatego nie moż-
na, przejąć obok takich elemen-
tów nowatorstwa, jak odnowienie
słownika poetyckiego, zwrócenie
się do potocznej ludzkiej mowy, do
obrazów poezji ludowej, do folklo-
ru.

Demokratyzacja formy (nie —
rozbijanie norm poetyckich, lecz
demokratyzacja formy!) przy zre-
wolucjonizowaniu treści, a wszyst-
ko to w imię partyjności poezji —
to właśnie sens nowatorstwa Maja-
kowskiego. I obok tego nam przejść
nie wolno.

Andrzej Mandalian

RYSZARD MATUSZEWSKI

Liryka podwładna myśli

O tzw.
„polskim”
papieżu

Przeczytałem niedawno — jeszcze przed drukiem — recenzję z kilku tomików poetyckich, którą autor rozpoczął od polemiki — najjużniejszej, ale nie wiem czy potrzebnej — z paradosalnymi twierdzeniami, że w poezji socjalistycznej liryka zajmuje jakiś cichy i wsiadliwy zakątek. Myślę, że uławianie sprawy a ż w ten sposób nie jest konieczne — pomimo wszystkich nonsensów, jakie zdrzało nam się ostatnio czytać na temat poezji. Nikt rozsądny nie wątpi chyba w sens liryki w literaturze socjalistycznej. Rzecz leży w czym innym. Liryka jest rodzajem literackim najtrudniej przystającym do pewnych teoretycznych uogólnień, które nadają określony kierunek całej naszej literaturze. Budzi najwięcej wątpliwości, gdy przychodzi do zdefiniowania, co uznać w niej mamy w konkretnym wypadku za przejaw realizmu, co — za miarę typowości. Ocena praktyki poetyckiej jest wciąż jeszcze dla krytyków i dla samych poetów trudna i o wiele bardziej sporna, jeżeli idzie o same założenia, niż np. ocena nowych powieści czy opowiadań. Gdzie kończy się metafora realistyczna, a zaczyna sztuczność, która — na to chyba zgadzają się wszyscy — jest z realizmem sprzeczna? Gdzie kończy się uczucie osobiste, a zarazem powszechne i typowe, a zaczyna antyrealistyczny, artystowski subiektywizm doznań? Gdzie leży źródło „lirycznego konfliktu” i czy w ogóle pojęcie to jest do oceny liryki istotnie potrzebne? Pytania te można by mnożyć, ale rozważanie ich w sposób abstrakcyjny, bez oparcia o konkretne przykłady, ma sens bardzo ograniczony.

Trudności narodzin nowej liryki leżą — jak sądzę — w tym, że jest to gatunek literacki, w którym kondensacja obiektywnego materiału doświadczenia życiowego i podporządkowanie go najogólniejszym założeniom filozoficznym pisarza idzie o wiele dalej niż w gatunkach o wyraźnym koście fabularnym. W powieści niedostatki filozoficzne skutecznie pokrywa, często jeszcze teraz, zresztą prowadzony wątek akcji. W liryce usłowno jest pokrywac przez czas dłuższy powodzą nieskończonej ilości obrazów. Jednakże brak określonej własnej postawy wobec życia łatwiej jest „przesłonić” jakimś blachem lirycznym opisem, ale o wiele trudniej ukryć bez reszty przed bardziej wnikliwym czytelnikiem. Uroki najpiękniejszych czy też najbardziej zaskakujących swą niezwykłością obrazów zostały łatwo zdemaskowane, jeżeli niewiele znaczący w sensie myślowym, uczuciowym, ludzkim. Większość poetów zdaje sobie już dziś nieźle sprawę z tego, co to jest estetyzm, jako wyraz owej wewnętrznej pustki, pokrywanej wapiowymi pięknościami. Nie każdy z nich natomiast ma pełną świadomość tego, co winien estetyzmowi przeciwstawić.

Spśród wielu prób torowania sobie przez poetów trudnej drogi ku nowemu pojmowaniu liryki, chcę omówić dwie — z rzędu godnych najwyższej uwagi. Wiem na myśli tomiki poetyckie: Anny Kamińskiej „O szczęściu” i Wisławy Szymborskiej „Dlatego żyjemy”. Być może iż w zestawieniu tych dwu pozycji jest trochę dowolności, widzę w nich jednak również i pewien nieprzypadkowy rys wspólny, znamienity dla ścieżek, którymi kroczą nasi poeci.

Tym rysem wspólnym, charakterystycznym zresztą nie tylko dla omawianych tu autorek, jest przede wszystkim całkowity odwrót od lirycznej żywiołowości, dominującej zarówno w poezji dwudziestolecia, jak w twórczości debiutantów z pierwszych lat powojennych. Wskazuje on na zjawisko niepozbowione zresztą precedensów w naszej poezji, a mianowicie na dużą konsekwencję w narzucaniu sobie określonej dyscypliny artystycznej przez poetki. Na matematyczną niemal — u Szymborskiej — precyzję w artystycznym porządkowaniu nurtów uczuciowych, na rygoryzm, oszczędność, niemal artystyczną. Powiedziałem — zjawisko nie pozabawione precedensów, bo przejaw podobnej „niskowolności i rygoryzmu” — w innym oczywiście kierunku — stanowiła np. twórczość Pawlikowskiej-Jasnorzewskiej. I tak jak u twórczy Jasnorzewskiej były w jej esencji liryka esencja ówczesnych smaków poetyckich, tak w niej — ale dostrajam debiucie Szymborskiej uderza fakt, że jest on jak gdyby zogniskowaniem tendencji liryki współczesnej. Twórczość Kamińskiej jest może jako wyraz tych dążeń niemniej reprezentatywna. Łatwiej przy tym na jej przykładzie prześledzić drogę rozwoju poetki — tam jej bowiem jest drugim z kolei, wyraźnie wskazującym linię jej ewolucji twórczej.

*

Pierwszy zbiór Kamińskiej „Wychowanie” (1949), obejmujący wiersze z lat 1940—1948 był — przy określonych już w nim cechach indywidualnych poetki — również

znamienny dla dróg rozwojowych naszej młodej liryki, co ówczesne tomy takich poetów, jak Różewicz, Wirpsza, Braun i inni. Była to poezja, w której autorzy swoją bezpośrednią myśl i żywe uczucie starali się — w myśl reguł odrzuconej już dziś przez nich na ogół praktyki — starannie zaszyfrować przy pomocy zmetaforyzowanych obrazów, silnie ulegając formalistycznym wpływom przedwojennej „awangardy”. Dopiero w ostatnich wierszach zbioru Kamińskiej pojawiały się pewne akcenty zwrotu ku formom prostszym, wciąż jeszcze jednak bardzo wystylizowanym (utwory takie jak „Wiesńaczka”, „Krzywdą”, „Nau-cielca”).



Anna Kamińska

W zbiorze wydanym obecnie mamy zupełnie inną Kamińską. Pozostały tu wprawdzie pewne osobiste upodobania tematyczne — problemowe poetki, wskazujące, że mimo całkowitej zmiany środków poetyckich, mamy do czynienia z rozwojem tej samej, wyraźnie zarysowanej indywidualności twórczej; ale po odrzuceniu resztek pretensjonalnej ornamentyki obrazowej, dominującej w „Wychowaniu” — wiersze jej nabrały zupełnie nowego wyrazu. W tomie „Wychowanie” panowała znamienita dla poetki stosowanej przez większość powojennych debiutantów dośność do rejestracji różnych efektów i często dziwnych obrazów rzeczywistości i doznań artysty, wyrażająca ideowo dość jeszcze nieokreślony stosunek do świata. Ogólnikowy humanizm, wiara w rozum i postęp, w znaczenie oświ ty dla ludzi przebiega tu poprzecz zawia metaforę, by przybrać postać takich dość wątpliwych i niejasnych deklaracji jak np. w wierszu „Krzywdą”.

Jeżeli zapamięta moralność ludzi, którzy
potrafią nie przez oportunizm, lecz przez
[złotniostwo, wówczas
każda krzywdą, nawet ten biały ból
[miłośni
znajdzie opiekę — w urzędzie
[szlachetnego rozumu.

„O szczęściu” jest już zbiorem wierszy prostych i jasnych w wyrażeniu, wierszy poetki o postawie czynnej, walczącej i to należy stwierdzić przede wszystkim, nawet jeżeli ma się zamiar następnie kwestionować — jak to uczynił Lasota w jednym z swych artykułów o poezji — uczuciową tonację tych utworów, w których naczelną nutą jest walka o pokój, rzekomo za mało uwytandniającą poczucie własnej siły, zbyt „defensywna”.

Moim zdaniem jest to zarzut zupełnie nieuzasadniony. W wierszach swoich uderza Kamińska w ton bliski i zrozumiały milionowi ludzi. Przemawia uczuciami matki kochającej swe dzieci, zatruwanej o nie i czulej, ale jednocześnie świadomej dróg, którymi kroczy człowiek i pisarz czynnie walczący o pokój. Sformułowania ideowe autorki mówią o ludziach, których „sen jest bezradny”, o kraju „co się walki nigdy nie wyrzeka”, są już nie jakimś ogólnikowym humanizmem, ale przejawem jasnej, świadomej postawy politycznej, o czym mówią strofy takich wierszy, jak „Mowa prosta”, „Na I Kongres Pokoju”, czy „Jolliot”, czasem aż nadbyt rezeron-skie w swoim wykładzie mobilizujące — dydaktyczne.

Toteż najsilniejsze momenty wzruszenia budzi Kamińska u czytelnika nie tam, gdzie „wyklada”, ale tam, gdzie prosta i jasna myśl leżąca u podłoża swoich wierszy wraza trafnym, podporządkowanym jej obrazem. Na te najtrafniejsze, najplastyczniejsze obrazy zdobywa się przede wszystkim wtedy, kiedy obraca się wśród specjalnie sobie bliskich tematów. Należą do nich: temat szkoły, rozszerzanie się kręgów wiedzy na ludzi tkwiących dotąd w ciemności, temat piękna zawartego w zdobywczym wysiłku nauki, w trudnych zdobywanych wiedzy przez ludzkość. Myślę tu o wierszach takich, jak „Mój wieczór autorski w fabryce”, „Pastereczka”, „List do Piotra Wyrobka”, urwki poematu „Na Kongres Pokoju”, a zwłaszcza fragmenty IV i VI poematu „Jolliot” (monolog Leogovina o nauce) oraz przepiękny — mimo pewnych, drobnych, rażących mnie usterk formalnych — opis szkoły wiejskiej. Klarowność, prostota i plastyka tych utworów i fragmentów dają najwyższe wzruszenia.

Świeżo skroplona pod mietlą podłoga
ma coś z wiejskiego ranka,
kiedy tatarak gra na ustach dziecka,
a krowy idą w wiankach.

Pod moje słowa to świat majowe
wraca w fabrycznej świetlicy.
Czekają na nią chrząkając miarowo
dostojni robotnicy.

Wy, oczy w okularach mgliste,
jak oczy ojca — dobre i srogie,
gdyby słowa moje szły wam kłamać,
niech zostaną za progiem.

Niech nie brzmia, gdzie się ściany patrzy
twarze najlepszych ludzi,
i dźwięczy pamięć waszych trudnych
zwycięstw i pieśń, co budzi.
(„Mój wieczór autorski w fabryce”)

W wierszu „Pastereczka” Kamińska bez stylizującej przesady wykorzystuje motywy ludowe, dając utworowi pełen świeżości i wdzięku.

Wysła dziewczyna na piękne łaki,
Wiodła dwie krowy i dwa baranki.
I zabiłwła krowie i lekka
Po złotych kwiatkach idąc wianek pletla.

(o tę gwarową niepoprawność miałbym tu pretensję do autorki — jest nieuzasadniona).

Była w jej dłoni śniadej pewność nagi,
Gdy krowę gnała i powroz jej kładła.

Była w jej oczach wstydliwość wesola,
Gdy owce ku niej obracały czoła.

Wiem widać było: dziewczyna ta moja
Jest tu na łące i obca, i swoja.

Ze szkół zapewne, z uniwersytetu
Na wieś wrocila i od wczoraj jest tu.

Potem na łaki kraju sama śladła,
Trochę patrzyła, jak jej trzódka jadła

A trochę — w książkę. Zagladam
nieśmielenie!

Co tam? A tutaj wykresy, tabele...

A tam z daleka pewno matka biegła
i zacytana z uśmiechem spostrzegła...

A przed nią książki rozłożone karta,
A przed nią łąka pachniała otwarta,

A środkiem w łożach biegły plunki
rzucone,

Na wzgórz polu i snopy słoneczne.

Za wodą sadów korowód ruchomy
i blachą w drzewach luskające omy.

Stały wiatrak nieruchome smigła
i młode bociany ćwiczły swe skrzydła.

Być może, że obrazowi wsi współczesnej, gdyby go chciał dopatrywać się w tym wierszu i innych, można by zarzucić sielankowość, ale przecież nie o obraz centralnych problemów walki klasowej na wsi chodziło poetce, a nie można, jak to czynią niektórzy niecierpliwi krytycy, żądać, aby w każdym wierszu lirycznym o wsi wyskakiwał jak marionetka — kulak. Byłoby to zupełnie opaczne i uproszczone pojmowanie zagadnienia konfliktu w lirce. U Kamińskiej jest konflikt inny: zupełnie oczywiście przeciwstawienie „nowej” pastereczki — dawnym konwencjom żalosliwego pastuszka z nieodstępna fujarką i tęsknotą. Kto tam nie odczuwa — nie odczuwa w ogóle liryki.

Drugim żywiołem dominującym w poezji Kamińskiej jest temat miłości macierzyńskiej. Jest to temat wyjątkowo trudny, bo ostatnio wręcz przelicytowany w poezji: obraz matki walczącej o pokój w imię szczęścia swych dzieci to — jak stwierdził w jednym z wierszy sama Kamińska — po prostu plakat, znany już wszystkim, i uczucia, które wyraża, niełatwo podać w niebanalnej formie. Poetce grozi tu z jednej strony faktywny patos, z drugiej — przy osobistym charakterze wierszy o własnych dzieciach — niebezpieczeństwo czułościowości. Na ogół Kamińskiej udaje się szczęśliwie wyminąć Scyllę i Charybdej tego tematu, ale niekiedy popada ona w pewne deklamatorstwo, np. w wierszu „Wier robotniczy w sprawie pokoju”, lub w pewną sztuczność obrazowania, np. w utworze „Dziecko wraca do zdrowia”. Poruszając ten bliski sobie i może aż nadbyt przyty temat, Kamińska często nie potrafi skupić się na jakimś konkretnym obrazie, gubi się w retoryce lub w kła w obrazowaniu, rozpraszając uwagę czytelnika. Podobny zarzut postawiłbym dwóm wierszom pod identycznym tytułem „Warszawa”: temat konkretny, a jednocześnie zbyt duży, aby go łatwo było zamknąć w jednej, określonej wizji, rozbił się u Kamińskiej w łańcuch obrazów kojarzonych dość dowolnie, przez co zatracca się siła wiersza.

Ogólna tendencja nowego zbioru Kamińskiej jest dążenie do świadomej prostoty. Nie rezygnuje się tu z myślą dla gładkości wiersza, ani nie komplikuje formy dla celów ornamentacyjnych. Są to założenia cenne i słuszne, ale niełatwo być im konsekwentnie wiernym. Trudno zwłaszcza osiągnąć przy nich to, co nie jest banalną gładkością strofy, ale tym jej prostym, potoczystym biegiem, który czyni wiersz łatwo dostępnym. Droga Kamińskiej biegnie konsekwentnie od wierszy sztucznie ekscplikowanych, elitarnych ku owej czytelności i prostocie, ale czasem jest jeszcze daleka od swojej mety. Jej wiersz, szlachetny w tonie, oczyszczony z poprzednich zawiłości, nie zawsze jest jeszcze tak lekki, jak np. w „Pastereczce” czy wierszu „Gołębie”. Czasem bywa chropawy i ciężki. Rozumiem niechęć autorki do zbyt „gładzonej strofy”, ale w poemacie „Jolliot” raz i wiele niekiedy utrudniające czytanie dysonansowe załamywanie rytmu i kulejanie nymy, np. „chmury” — „Piotrem Curie”, sugerujący fałszywy akcent we francuskim nazwisku. W pierwszej „Warszawie” (str. 12) raz i mne barok metafor, a także dowolność luźnej formy w wierszach „Wier robotniczy w sprawie pokoju”, „Mowa prosta”, „Nowy wiersz”. Jest to dopiero surowiec poetycki.

Pięknym uzupełnieniem zbioru Kamińskiej są wyjątkowo trafnie dobrane, wzruszające przekłady z liryki radzieckiej — wiersze Saja-

nowa, Szubina, Issakowskiego, Smierdowa i Muchaczewa.

*

Osobliwość debiutu Wisławy Szymborskiej polega na tym, że autorka ta publikuje wiersze już od r. 1945, a pierwszy swój tom wydała — po daleko idącej selekcji — dopiero w r. 1953. Stąd po części owa zaskakująca dojrzałość utworów — jak już wspominałem — rygorystycznie zwartych, dalekich od zwykłej, debiutanckiej rozlewności. Po części tylko — bo wielu innym poetom i staranna selekcja niewiele by pod tym względem pomogła.

Wiersze Szymborskiej, to produkt bardzo skoncentrowanej myśli twórczej, piękny akord jasno i dobitnie sformułowanej postawy ideowej oraz dużej wnikliwości artystycznej w posługiwaniu się słowem, oszczędnym i lapidarnym.

Jeżeli jednak napisałem wyżej, że wiersze Szymborskiej są jakby eks-

traktem tych treści, jakie postulują się pod adresem nowej liryki — to chciałbym się zastrzec, że nie miałem na myśli traktowania ich jako jakiegos wizerca. Przeciwnie. Wy-

dała mi się, że sposób pisania Szymborskiej jest bardzo wyjątkowy, bardzo ściśle związany z jej rzadką — jak mi się wydaje — indywidualnością twórczą. Wyjątkowo rzadko trafia się bowiem u liryków ta-



Wisława Szymborska

ka bezwzględna umiejętność odcieczia się od wszelkich prawie pokus i uruków słowa i obrazu, co u Szymborskiej. Poetki tej zdają się nie interesować krajobrazy ani metafory, opisy ani różne drobne realia, tysiąc spraw tego świata wciągających się „ozagadnionym gwałtem w strofy młodych zwłaszcza poetów. Gdyby nie to, że interesują ją w poezji wyłącznie sprawy bardzo zasadnicze, najważniejsze — same niemal nagie formuły ideowe i psychologiczne, gdyby nie to, że są to formuły prawie zawsze bardzo celne, a niekiedy wywołujące w nas bardzo szczere, głębokie wzruszenie — można by powiedzieć, że jest to autorka skupa w doznania. Z tego, co można by na dany temat powiedzieć, Szymborska mówi bowiem zawsze tylko jedną setną — ale ujmuje to w tak zamknięty kształt, że pozostałe dziewięćdziesiąt dziełwie okazuje się rzeczywiste — w danym układzie — zbędne.

Zwiotl liryce jest podporządkowany myśli organizujący przeżycie, obraz, pointę. Jest to świadomy program poetycki, polegający na odcieczu się od tych wszystkich nurtów osobistych, które nie tłumaczą się funkcją społeczną.

Nie dość, że serce po lewej stronie.
Uczę się myśleć, działac, mówić.
Słomka porwyw krótko pionie.
Pierwszy krok łatwy. Cięższy drugi.
Nie dość swą klasę rzucić. Trudniej
jest żyć potrzebnie pośród ludzi.
Cieży krak trzeci, czwarty, siódmy.
Niech lekkość wiersza was nie złudzi.
(„Nie dość”)

Oto klucz do postawy życiowej, który świadomie obrała autorka. W zbiorze są tylko wiersze potrzebne dla innych ludzi, nie ma ani jednego słowa, w którym by cieszyła się, płakała czy bawiła się autorka bezużytecznie, z niekontrolowanego wyraźnego wyznaczenia wytycznymi ideowymi, tylko wewnętrznej potrzeby. W całej naszej poezji powojennej nie czytałem tomu tak silnie zracjonalizowanego. Właściwie nawet mało dowiadujemy się z niego, jaką autorka naprawdę jest: dowiadujemy się przede wszystkim jakąś chciałaby być, jaką uważa, że być powinna.

Czy znaczy to, że nie ma w nim wierszy osobistych? Nie, wcale nie znaczy. Ale z przeżyć osobistych pozostawiono wyraźnie tylko te, które są ważne i pouczające również dla innych. I tu ośmieliłbym się powiedzieć, że słusznie te wiersze najbardziej cennie, zamykające w sobie całą filozofię życiową autorki, są w tomie najlepsze, najgłębsze. Właśnie utwory takie jak cytowane „Nie dość”, jak „Rówieśnice”, jak „W banalnych rymach”, jak „Osobiste”, jak — mimo zewnętrznego tematu bardzo — jak mi się zdaje osobista — „Miłość Marii i Piotra Curie”.

Ważmy wiersz „Rówieśnice”:

Do samej siebie w latach późnych
na czas młodości odchodzącej
pisze i dziś już tworze w sobie
podgodną zgodę na te lata,
gdy poculunk innym ustom,
gdy radość, gniew i ból miniony
jawnie zapisze się na twarzy,
kiedy dla ręki poręcz schodów
stanie się coraz potrzebniejsza.

Nadejście wtedy wielka próba
życia wśród młodszych towarzyszy.
Juz dzisiaj na nią przyszło ziemi
nie rozwijająca z biegiem lat.
Bo jeśli w próbie tej upadnie,
jak kamień w przepaść i samotność —
uśmiech to wina mej młodości,
pożniej widocznej i samotnej.
A jeśli w próbie tej zwyciężę,
nie opozniona pojęć dalej,
będzie to znaczące, w czas młodości
nie opozniona kroków swych.

Chce umierając dzielić przyjaźń
z młodą medyczką-komunistką
jak rówieśnica z rówieśnicą.
Niech przyjaźń się jej poinnoży.
Bo kiedy ona — własne ona —
wpatrzona w pole mikroskopu
zda ostatni cios chorobie,
która wstrzymała oddech mojej.

Filozoficzna mądrość tego wiersza zdumiewa i wzrusza. Ale gdyby ktoś przypuszczał, że Szymborska jest sensacją rze odczuwającą głęboko przełomnych radości dnia dzisiejszego — niech przeczyta wiersz „W banalnych rymach”, wiersz o „kwiatkach i miłości, perełkach liryzmu”.

Miał rację Andrzej Braun w spostrzeżeniu, że wiersze Szymborskiej to często mikroskopijna nowelka z akcją: sylwetki żołnierzy radzieckich w cyklu tytułowym „Dlatego żyjemy”, wiersz „Czterej” poświęcony bohaterom Wielkiego Proletariatu, wstrząsający wiersz „Z Korei”, piękna opowieść starej robotnicy „Nad kołyską ludowej konstytucji”, „Wzrastanie” — można by sobie doskonale wyobrazić rozbudowane jako nowele czy poematy. Ale o czym to świadczy? Czy o tym — jak chce Braun — że to „nietypowe” liryki? Bynajmniej. Po prostu o tym, że jest w nich wiele treści, w danym wypadku, w tej postaci, w jakiej nam je ukazano — treści na wskroś lirycznej, bo formuła krótkiego opowiadania wierszem, gdzie narrator nie przestaje być podmiotem odczuwającym, zabarwiającym uczuciowo treść utworu — to formuła wiersza lirycznego, chociażby tematem było opowiadanie o konkretnym, zewnętrznym wydarzeniu, „Elegie o śmierci Ludwika Waryńskiego” czy „Księżyc z ulicy Pawiej” — to przecie też liryki.

Celność wierszy Szymborskiej opiera się na dużej precyzji językowej. W wierszach jej każde słowo użyte jest celowo, metafory są rzadkie, ale zawsze niemal bardzo trafne, że przypomnę tylko korejskiego chłopca, któremu amerykański pułkownik, „wesołek haniebny” — kazał wykłuć oczy i który siedzi „rozglądając się rękami” (wiersz „Z Korei”).

Wiersze polityczne to odrębny przejaw artystycznej sprawności poetki. Niektóre z nich, jak „Z Korei”, czy też o starej robotnicy, jak „Ten dzień nadejście”, „Młodzi budującej Nową Hutę” — wejda z pewnością do repertuaru najlepszych utworów agitacyjnych w naszej poezji współczesnej. O sile ich rozżyga skondensowany ładunek treści, dobrze wyrażona pointa myślowa.

Słabsze są natomiast te wiersze polityczne, w których nie ma konkretnej fabuły lub oryginalnych sformułowań, jak np. „Robotnik nasz mówi o imperialistach”, „Pieśń o zbrodniarzu wojennym”. Banalnością grzeszą też takie wierszyki jak „Trzeba” lub „Do twórcy”. Jeśli wspomnę o nich (a można by je z powodzeniem przemilczeć, stanowią bowiem znikomą część doskonałego zbioru) — to dlatego, żeby wskazać zarówno samej poetce, jak przeze wszystkich tym, którzy by mieli ochotę naśladować jej artystyczny sposób pisania, że jest to jeden ze sposobów najtrudniejszych, z którego najłatwiej ześliznąć się na mielizny miernych plakatów. Trzeba mieć bardzo dużo do powiedzenia, żeby pisać takie krótkie wiersze i żeby te wiersze były dobre. Jak dotąd autorce „Dlatego żyjemy” można stawiać pod tym względem najlepsze horoskopy.

Ryszard Matuszewski

Konkurs dla czytelników książek

Wydawnictwo Ministerstwa Obrony Narodowej ogłasza NIEUSTAJĄCY KONKURS na najlepszą wypowiedź o przeczytanej książce.

WARUNKI KONKURSU:

W konkursie może wziąć udział każdy czytelnik po przeczytaniu którejś z książek, wydanej przez Wydawnictwo MON (polskiego lub obcego autora). Należy tylko nadesłać na adres Wydawnictwa (Warszawa, Plac Zwycięstwa 4, Wydział Propagandy) swą wypowiedź — przeczytanym utworze, na co najmniej jednej stronie maszynopisu, względnie dwóch stron czystego rękopisu. Wypowiedź czytelnika winna zawierać odpowiedzi na następujące pytania:

- 1) Czy przeczytana książka wydała Ci się interesująca? Opinię swoją uzasadnij.
- 2) Czy i jak książka pomogła Ci w szkoleniu lub pracy.
- 3) Który fragment książki lub postać bohatera spodobały Ci się najbardziej i dlaczego.
- 4) Jak Ci się spodobała oprawa graficzna książki.
- 5) Jakie błędy dostrzegłeś w przedstawieniu przez autora poszczególnych postaci, wydarzeń lub sytuacji.
- 6) Jakie poza tym uwagi dostrzegłeś w książce.

Wypowiedzi mogą być opracowane zarówno indywidualnie jak i zbiorowo. Najcenniejsze z nich będą publikowane.

Jury konkursu będzie oceniało nadsyłane wypowiedzi i przyznawało cenne nagrody książkowe, regularnie co trzy miesiące.

K 7765-1

NAKŁADEM
PAŃSTWOWYCH ZAKŁADÓW WYDAWNICTW SZKOLNYCH

ukazała się książka:

J. Bardach, A. Gieysztor, H. Lowmiański i E. Maleczyńska

HISTORIA POLSKI

do r. 1466

str. 270, map 5, cena zł 8 50

Do nabycia w księgarniach „DOMU KSIĄŻKI”

*) Anna Kamińska „O szczęściu”. Czytelnik 1952, str. 79.

**) Wisława Szymborska „Dlatego żyjemy”. Czytelnik 1952, str. 49.

ANDRZEJ BRAUN

Dzieńdziecka

(Korespondencja z łona „Nowej Kultury” z Phenianu)

Tancerka wzniosła w górę nagie ręce, miękkie i ruchliwe jak lodgry ciętych lilii na wietrze. Jeszcze drgały gasnącym falowaniem, rozpiływały się nby kregi na wzdzie, coraz bardziej wygładzając ton. Wreszcie poderwała je w ostatnim, triumfalnym rzucie, rozwijając wokół głowy barwny szal, który łopotał jak sztandar świętu, jutrenki, wiosny. Niewidzialne jej stopy dreptały w miejscu, zdawało się, że ziemia obraca się poniżej. Czardziejski krąg reflektora zniechęcał, wyodrębniając postać tancerki z mroku, a potem gasł powoli jak wędzący kwiat. Było już ciemno, a jeszcze łęczowy jej obraz trwał odbity w głębi moich otwartych źrenic.

Nagle rozbiły jaskrawe lampy odsłaniając opuszczone kurtyny, zielone mundury orkiestry i wielką salę teatru, zatłoczoną ciasno, głowa przy głowie, zielonych drelchów z tej strony, gdzie siedziało około trzydziestu Chinców ze wstażkami ochotniczek na piersiach, młodych ciemnowłosych, dwudziestoletnich dziewcząt o czarnych i po chińsku smutnych oczach. Ochotniczki zanurzały twarze w bukiety ogromnych, pasowych peoni, trzymany w dłoniach. Szmer powiał nad morzem płaskich beretów z gwiazdą i mrowiem pagonów oficerskich, sierżanckich, żołnierskich, spietrzonych z tej drugiej strony, gdzie z płaskich twarzy, opalonych na brąz frontowymi wicherami gór, spoglądały skośne oczy krępych dziewcząt koreańskich. Szmer powiał nad pomarszczonymi jak jabłka twarzami chłopaków, czdianych w narodowe stroje Koreańskie: długie, czarne spodnie i białe, krótkie kaftany związane kokardą z lewej strony; nad białymi mundurami milicjanek z czerwonymi opaskami na rękawie, nad uniformami pielęgnarek i lekarzy, białych, długonogich przyjaźliwych o dziesięć tysięcy kilometrów Europy — nad całym, przeszło tysięcznym tłumem kobiet w mundurach, wypełniającym szczerze salę teatru. Sto czterdzieści wykutych w skałę stopni dzieli ją od powierzchni ziemi, od serca miasta Phenianu.

Tancerka wyszła przed kurtynę i kłaniała się z uśmiechem wiatającej publiczności. Gruby wicemarszałek, z krótko przyszytą czupryną koloru sadzy, palił papierosa w długiej, kościanej cygarynie i bezustannie wachlował się papierowym wachlarzem, na którym wymalowane były samoloty odrzutowe z gwiazdą, nad zadymionymi szczytami gór. Chińczycy szczyrzyli chuchie i w pięknej, żółtej spódniczce na szelkach podbiegła do artystki, zawiązała na jej szyi i wcisnęła w dłonie bukiet pomysłowych peoni. Koreańskie dziewczęta w mundurach błyszczały rozognionymi twarzami. W teatrze było gorąco. Gdzieś na powierzchni ziemi zachodzić musiało słońce.

Tancerka uśmiechała się. Dopiero teraz w świetle zwykłych lamp dostrzegłem azjatyckie rysy jej pięknej twarzy. Niedawno w jednej sukni przebrana za chłopkę i ukryta wśród beczek rybackiego kutra przekraczała trzydziestoletni równoleżnik, uciekając z rodzinnego Seulu. Zanim kochała sztukę swe-

go narodu. Tu pod ziemią oklaskiwały ją tysiące wspaniałych rak. Tancerka nazywała się Coj-Syn-Chi.

„Czar prysł. Siegając ręką do kieszeni bluzy poczułem pod palcami skórzany portfel z fotografią dzieci. Zapomniałem nawet, że mam go przy sobie, choć nie rozstałem się z nim nigdy. Dziewczynki przylutowane do siebie, uśmiechały się z fotografii znajomym, najdroższym uśmiechem. W oczach dzieci widziałem świetlisty dzień naszego kraju. Ewa pytała mnie kiedyś: „Tato, co to jest wojna?”

O dzieciach w tym dniu mówiło się wiele. Padły słowa w nieznanym językach, przekładane na inny niezrozumiały język. Przedstawiła cięła zwiastu demokracji kobiet kraju świętości porannej mówiła twarzą, charczącym, pełnym przydechów językiem o dzieciach swojej ojczyzny. Rosta kobieciarz z gładko przyczesanymi włosami mówiła śpiewnym rosyjskim językiem o życiu dzieci, noszących czerwone krawaty na słonecznych zboczach Artek, dzieci prowadzących małe elektryczne kolejki w ciemnych i przestronnych salach pałaców kultury, dzieci, których jasne dzieciństwo upływa w przedmnie komunizmu, w kraju swobodnej pieśni i kolchozowych zbóż, w tym kraju, o którym matki opowiadały malcom przed snem.

Przemawiała czarna kobieta w spodniach opowiadając melodijną, wypiewaną mową o dzieciach tysiącleć Chin. Mówiła o wojnie, o niewolnictwie o dzieciach z czarnymi grzywkami, które w ciemnym parku Golotczyzny, w polskich, harcerskich mundurkach śpiewają pieśń „Ariran”. Padły cyfry przedszkoli, domów dziecka, pałaców pioniera, szkół, sierocinców i żłobków. Mówiono o rzeziach dziecięcych i o kształceniu smaku estetycznego, o wrażliwej duszy dziecięcej i o potrzebie długiego snu. W przemyśle na tle teści sztandarów pochylały się gładko przyczesane głowy Koreańskie, złote, puszyste włosy Węgerek i Polek, czarne korony Bułgarek i Rumunek. Dużo w tym dniu mówiło się o dzieciach.

Ewa pytała mnie kiedyś: „Tato, jak to jest, kiedy jest wojna?”

*

Jadąc na uroczystość do teatru miałem liczne wście, rozrzucone wzdłuż drogi. Droga ta zasypana była kamieniami, wybita ogromnymi dziurami, tysiąc razy przekopana i latana przez oddziały uśmiechniętych Chińczyków w drelchach bez odznak i okragłych czapkach. Droga ta wymywna była huraganowymi deszczami w potworne jamy, gdzie pękają resory i karozerie „gazików”. Droga ta zasypana była suchym, grzącym w oczy i zatykającym w piersiach kurzem — ot, kreta wstęga gliniastej ziemi, ubitej kołami samochodów i bosymi nogami uciekinierów. Przy drodze tej co kilkanaście kilometrów sterzał bункier z worków i darni, w którym chiński żołnierz z ochrony dróg, czy koreańska dziewczyna wymachiwała chorągiewką wskazując kierunek i wznosząc wesoło duży palec w górę: „Charasio!” — gwizdek, droga wolna. A wzdłuż niej świeży, ogromny leje ze zgłogłą ziemią wyrzuconą na wierzch. Na te kopulaste góry, porośnięte koczującym ogrodowej zieleni, aka-

cji, modrzewi, dębów, rozciągały się szare od pyłu, czarne od sadzy rumowiska. Z rzadka sterczały chaty z drewnianych belek o ścianach z trzciniowej glecionki wypełnionej gliną, chaty kryte ryżową strzechą albo japońskim, wygiętym dachem z szarej dachówki. Większość ich rozdeptała była jak babki z piasku, zmilionna na proch, wypełniając pustą dolinę śmieci i piasku i płaskim gruzowiskiem. Tereny wsi przypominały zanieczyszczone odpadkami pola. Domy, które stały, straszły wrokiem, popękane, bez futryn, zięjące bezładną, czarną pustką. Ludzie nie mieszkają tu w domach. Mieszkają w ziemi, na drodze, gdzie stała rolna jak w mrowisku.



Dzieci koreańskie z Golotczyzny na defiladzie w Warszawie.

Widziałem dziesiątki dzieci. Widziałem niemowlęta i parolentę szkraby o czarnych, ogolonych łebkach i wąskich, przecinkach oczu, które niesione w płachcie zawiązanej na plecach wieśniaczki z odkrytymi piersiami, ścisłymi nóżkami chwyliwym, malpim ruchem grzbiem matczynej. Ośmiolatnie dziewczynki o czarnych, prostych włosach, obciętych równo, z grzywką nad oczami, dźwigały w płachcie na plecach niewiele młodszych od siebie braci. Białe suknie kobiet brudne były od kurzu. Spod czarnych, kusznych spódnicek dziewcząt bosa nóżki w gumowych, ptykłych kaloszkach ze śmieśniami zadartymi nosami, przełyły się od wysiłku. Kaloszki cudem nie spadają ze stóp. Gromadka dziewczyn w mundurach kłótniarki wracała ze szkoły, mieszczące się w niskiej, stalnej grocie. Było gorąco. Dzisiaj uczyły się w pył rozwalonej szopy. Zgrzebane worki z zeszytami przewieszane dumnie przez ramie. Nogi bosa, pokaleczone, brudne. W innej wsi chmara waleśających się w pył dzieciaków pisyzy z radością biegnąc za samochodem. Dwóch czterolatnich malców, gołych jak żaby i umorusanych ziemią, chowa się na mój widok. Wpadli do rowu, przycupnęli, chowając głowy za krawędzie szosy i tylko gołe tyłeczki wystają z ukrycia. Potem wysuwała ostrożnie łebki śledząc bojaźliwie warkocząc kurzu. Kilkuletnia dziewczynka z niemowleciem na plecach szła na przodu opustoszałej ziemi nad kilkoma paczkami chińskich papierosów i nędzną garścią towaru, rozłożoną w drewnianym pudle. Pusto, nikt nie przechodził obok koreańskiej dziewczynki z zapalkami.

O świecie na bezludnej szosie w górach miałem trzydziestoletniego chłopca. Półnogi przyciskał pokrwawione ręce. Szmaty okrywające jego ciało przetrzone były do nitki, umazane błotem. Ktoś tam noc z rzędu spędził w biotłostym rowie. Szedł zataczając się i płakał z ostatniego wyczerpania, a jego zdziwiała twarz wykrzywiona była kurczem. Łzy wymywały czarne przezi na policzkach. Szedł ku tym, którzy mu pomogą.

*

„Oficjalną ciszę teatru przerywa dźwięk werbli i piskliwy rytm fanfary. Fluoryzuje reflektory, zwrócone ku sali, oślepiają. Między rzędami ławek, gdzieś spod bielonego sklepienia, wmaszerowuje kolumna dzieci w szafirowych pionierskich krawatach. I e zez podniecenia przebiega po skórze. Trzaskają aparaty fotograficzne, szumi filmowa taśma. Za sztandarem pionierskim, niesiony na barkach wyprostowanych malców portret Kim Ir-sena. Dwusereg czarnych, przyciętych grzywek, białych pionierskich koszul, bosa, klude nożyny. Bojowy rytm, śmiecie, piskliwe słowa melodiku z trybuny. W tył zwrot — frontem do przysiadu! Przede mną stoi dwusereg chudych, dziecięcych stóp. Pokaleczone, podrapane kolana, wynędzniałe, zamorusane pięty. Kaloszki z zadartymi nosami na bosych stopach. Wyżej twarze marsowe, poważne, twarde.

Patrzę i robi mi się tak smutno, tak strasznie, boleśnie ścisła się serce, że nie staram się zatrzymać łez pęczniących pod powieką.

Przez chwilę mgiełny mi podrapane kolana mojej Ewy, za które dostała taką burę w domu.

„Tato, co to jest wojna?”

„Uroczystość miała się ku końcowi. Dłoń wzniesiona nad głową — pionierskie pozdrowienie, przywołuje uśmiech na twarz. Dzieci rozsypują się jak gromadka wróbi. Drobne ręce na szyi i słowa największej miłości do ucha białej kobiety-lekarki: „O moni!” — mamoo... Dzieciak kolumna wymaszerowuje w rytmie pieśni o Kim Ir-senie.

Publiczność wychodziła na powierzchnię, na szczyt góry panującej nad miastem. Podniecony gwar głosów dudnił w siedemdziesięciometrowym, betonowym szybie wyjścia. Zapadał zmrok. Wśród natłoku podjeżdżających samochodów, krzyżujących się, oślepiających reflektorów, w jargociej klaskon, w wśród płatiny dzieci, kobiet w mundurach i kobiet w białych sukniach, wśród wzajemnych poszukiwań pasażerów, w zamęcie i fali wychodzących z teatru tłumów nie patrzyliśmy na ciemne, gwałtownie niebo nad nami.

Z mroku zawył głos wartowników: „Hango-o-o!” Zalomotała działa przeciwlotnicze. Głos wartowników stały się przeraźliwe, gwałtowne. Zamęt wzrósł. Samochody, jeden za drugim, rzuciły się do ucieczki, to blyskające światłami, to gaszące je, jak noceć uciek. Ciężki, nieustrasznym warkot bombowców B-29 wiał nad nami w czarnym niebie.

Tego dnia bomby ze srebrnych, czteromotorowych samolotów startujących z Japonii padały na wko-pane płytko w ziemię, przykryte resztkami blachy i potrzaskanych dachówek nory mieszkalne koreańskich dzieci. Padały w zatłoczone

obozowisko bezdomnych zasypując i miadząc pognięcie ciała sztykujących się w śnie lub stoczoną wokół skapej miśki z ryżem czy bobem. Bomby padały na nagie dzieci, ukrywające się w rowie przed przejeżdżającym samochodem. Stara kobieta o obnażonych piersiach biegła potykając się wśród tumanów pyłu wzniesionego przez rozwalo e podmuchem gliniane ściany chałup. Czarnowłosy młodec na jej plecach przestał krzy- czeć, nie kręcił się więcej. Celny pocisk oszczędził matkę, grzęznąc w ciebie jej żywego ciężaru. Ludzie zasłaniali oczy, nie mieli odwagi powiedzieć jej prawdy.

Tego dnia chłop Se Man Guk, ojciec siedmiorga dzieci, ukończył rozsądę ryżu. Wiele potu spłynęło w małe półko Se Man Guka. Ryż potrzebuje równego poziomu 30 cm wody na całym polu. Stojąc do połowy łydek w błocie, Se Man Guk, przez długie dni oral pożyczonym wołem swoje kilka tenbo ziemi. Cała rodzina wytykała zielone pęczki rozsady w mętną wodę zagonu. Każda gałązka musiała tkwić w określonej odległości od drugiej, nawet temperatura wody należało regulować według starodawnych przepisów. Cały wielomiesięczny trud włożony w sianie, cała przyszłość zbiorów zależała od rozsady. Dwa leje z półtonowych omb zamienili pole w rozoraną, wysychając skorupę ziemi. Odrzutowy samolot F-86 długo, uparcie uganiał się za białymi plamkami uciekających przez błoto dzieci. Dziewczynka z zapalkami, garścią chińskich papierosów i małym brzochem przytoczonym na plecach leżała pod trzema metrami czarnej, zgwałconej ziemi.

Dwadzieścia samolotów B-29 przewalało na przestrzeni kilku metrów waly zapory wodnej w Sunan, zabezpieczającej dopływ wody na pola ryżowe całego rejonu. Woda zalała i wymyla doszczętnie tysiące tenbo ziemi, a potem spłynęła przez rozmyte groble, zostawiając żółta, popękaną skorupę. Właśnie skończono tam rozsądę. Ofiary powodzi z trudem zgromadzone w kilku wsiach w okolicy Phenianu. Tego dnia sześć latających fortec należało na powiat Czaren, gdzie w prowizorycznych lepienkach gnieździł się uchodzący z zalanych terenów.

Tego dnia do szpitala nr 51 przewieziono wielu rannych. Szoferzy opadali z sił, chwytali ich młodości od widoku poszarpanych ciał i ludzkiego jęku cierpiących. Każdy wstrząs na kamienistych drogach obwiał ich potem. „Przed, przed, przed!” — padaly nagłe rozkazy. Do szpitala nr 51 przewieziono trzydziestoletniego chłopca z twarzą zmiażdżoną przez pusty bak po benzynie, zrzucony z przelatującego samolotu. Nie pomogło życie i skrobanie szrakach krwi. Tej samej nocy chłopiec umarł. Na inny oddział tego szpitala przewieziono poparzonego napalnicą. Dzieci bez nosów, bez oczu, z naga kością zamiast rąk, z twarzą jak krafer księżyc, jak twarz oczystej, żywej ziemi. Lekarze bali się zdejmować opatrunki z tych ran. Oto jeden, któremu zdjęto bandaż z poparzonej głowy, oszalał z bólu i uciekał w nole wyskoczywszy z samochodu.

*

Jutro w najbliższej szkole odbędzie się wborb delegatów na Festiwal młodzieży.

Andrzej Braun

W KINIE I GDZIE INDZIEJ

Kierunek na ulicę

Obejrzałem niedawno długo oczekiwany film „Ślubujemy” reżysera Jerzego Bossaka.

Bardzo mi się p.dobał zarówno ze względu na ciekawe operowanie tym wszystkim, co nasza kinematografia powojenna już zdobyła osiągnąć w dziedzinie filmu dokumentarnego, jak i ze względu na śmiałość nowych poszukiwań w dziedzinie formy, szczególnie dźwiękowej i barwnej (kolor tego filmu, wbrew niektórym głosom, uważam za bardzo udany; albo więc widziałem jakąś wyjątkową kopię, albo też przeciętnicy barwy w „Ślubujemy” przesadzają). Ale wychodząc z filmu odzwyczaić poczęłem jakiegoś narastającego „przeciw. Czy przeciwko temu akurat filmowi? — Nie, przeciwko żywiołowi nas tendencji do robienia filmów, szczególnie dokumentarnych, „na monumentalnie” i „radomnie”, nastrojanie ich na jakieś jednobrzmiące i wysoką nutę wielkiego patosu przy całkowitej niekiedy rezygnacji z rzeczy drobnych, migawkowych, ale ocieplających film i nadających mu świeżych rumieńców życia.

„Ślubujemy” miał być, według informacji jego twórców, filmem widowiskowym i Bossak zrobił na pewno dobry film widowiskowy. Ale przecież same tańce, popisy gimnastyczne, zabawy itd. nie stanowią o charakterze Złotu Młodych Przewodników. Podołnie rzecz ma się z innym naszym dobrym filmem dokumentarnym — z „Warszawą” Perskiego. Piękne bloki MDM, wysiłki budowniczych, to jeszcze nie wszystko, co można powiedzieć o Warszawie, tak samo jak opalone torsy młodych zawodników czy nawet bardzo piękna scena ślubowania połączona przemyślaną metaforą z obrazami pracy i budowy to nie wszystko z istotnego sensu Złotu. Naprawdę wielkie, wzruszające i monumentalne piękno naszych czasów jest na ulicy. Trawstując zdanie Marksa p Balzaku, należy stwierdzić, że o Paryżu dowiedzieć się można znacznie więcej z ulicznych scen k Claira niż z uczonych rozpraw. W filmie Pyrieuxa i Ivensa „Naprzód młodzieży świata” bardzo budujące niż wszystkie manifestacje i popisy były drobne scenki uliczne, podchwytane na gorąco i świetnie oddające charakter Festiwalu Berlińskiego.

Wydaje mi się, że kierunek na ulicę, na scenkę na epizod, powinien zdobyć sobie prawo obywatelstwa w naszym filmie w ogóle, a w filmie dokumentarnym w szczególności. Nie chodzi tu tylko o jakiś nowy styl czy stylizm. Chodzi o baczne, dokumentarne spojrzenie na sprawy naszego życia, o spojrzenie poprzez codzienność, która pozwoli ominąć falowanie pomiędzy entuzjazmem a „utrudnianiem” i która, obok koniecznych wielkich syntez, zdolna oddać prawdę naszych czasów.

Krzysztof T. Toeplitz

LISTY Z DALEKIEGO WSCHODU (4)

Manila bawi się

Oglądana z zewnątrz Manila robi wrażenie jakiejś karykatury USA na Dalekim Wschodzie nie tylko z powodu syren policyjnych i gazet. Parterowe i jednopiętrowe murowane domy w centrum miasta zalane są neonami w stopniu przewyższającym Londyn i dorównującym chyba Brukseli — centrum otoczone jest jednak morzem przedmieść, a przedmieścia te są nieskanalizowane, zabudowane rozlatującymi się trzcinowymi domkami, często na palach, i ciągną się w nieskończoność na wszystkie strony od centrum — wydośanie się samochodem z miasta trwa więcej niż godzinę. Na pryncypalnych ulicach tłoczą się samochody, jadące w godzinach ruchu w 3 i 4 rzędach — wśród nich uderzająco dużo najnowszych modeli Buicków, Cadillaców i Packardów — jadą po asfaltowych jezdniach i demobilowych amerykańskich mostach. Mosty są przerzucone nad kanałami — nie kanałami żeglownymi, ale ściekowymi. Te ściekowe kanały, dawniej prawdopodobnie jakieś półstojące rzeczki, obecnie, w miarę wzrostu miasta, całkowicie wypełnione nieczystościami i cuchnącą wodą, niepokryte, stanowią równie charakterystyczną cechę środowiska, jak neonowe reklamy. Nad kanałami ciągną się w bok od pryncypalnej ulicy szeregi stoczonych domków o nędzy, którą sobie w Europie trudno wyobrazić — z porożowanymi dachami, wybitymi dziurami w ścianach — na rozciągniętych sznurach wiszą suszące się łachmany.

Manila Hotel, w którym pomieszczone zostały delegacje na Konferencję, jest hotelem luksusowym. Zajmuje olbrzymią przestrzeń i posiada swój własny basen pływakowy z 8-metrową trampoliną, własne korty tenisowe, własny urząd pocztowy i telegraficzny, i olbrzymią ilość sal jadalnych i konferencyjnych. Ponieważ posiedzenia Konferencji odbywają się również na terenie hotelu, członkowie delegacji całymi dniami mogliby nie wychodzić na miasto. Wiele pomieszczeń na terenie hotelu jest „air conditioned”, w szczególności wszystkie jadalnie i bufety.

Na obiad zamiast zupy dostajemy mrożoną galaretkę (zupa jest zbyt gorąca). Do galaretki podają nam cytrynę. Wyprawa jest importowana z USA — na Filipinach różnie wypra-

dzie pewien rodzaj cytryn, ale są małe i koloru zielonego, bo klimat zbyt gorący na gatunek europejski — ponieważ po tej samej cenie można dostać cytryny amerykańskie, używa się amerykańskich. Po obiedzie prosimy o owoce — podają nam jabłka — importowane z USA i ananasową konserwę, również produkcji amerykańskiej. Pytamy się,



Na pryncypalnych ulicach tłoczą się samochody, jadące w godzinach ruchu w 3 i 4 rzędach

czy nie można dostać świeżych ananasów — zarządzający salą wyjaśnia nam, że to byłoby kłopotliwe, trzeba by ananas oczyścić, kłajać — lepiej się kalkuluje eksportować ananasy, a sprowadzać gotowe konserwy. Zastanawialiśmy się czy mrożona herbata, którą nam podają po obiedzie jest również importowana z USA, ale już nie pytamy zarządzającego.

Wieczorem w „Wintergartenie” naszego hotelu, który jest równocześnie najelegantszym „lokałem” Manili, odbywają się dancinigi — często są one połączone z różnymi specjalnymi okazjami, np. Wyższa Szkoła Stomatologiczna (jest ich w Manili 5 — ponieważ wypuszczają one co roku 10 razy więcej absolwentów niż wynosi pełne zapotrzebowanie Manili na dentystów, absolwenci idą potem pracować do biur, a absolwentki wychodzą za mąż) urządza zabawę, Rotary Klub urządza zabawę itd. — widać doświadczone re-

organizatorów — oczywiście zdajemy sobie sprawę, że chodzi o oświecenie innych delegacji krajów azjatyckich. Bosi kelnerzy z Indii są jakby na innym świecie. Tu kelnerzy usługują w tropikalnych smokach, gra doskonały jazz — 30-tu młodzieńców z bluszczami, gładko zaczesanymi czarnymi fryzurami. Dziewczeta na dancinigiach są w białych balowych sukniach, według ostatniej mody amerykańskiej nie sięgających podłogi, z gołymi plecami lub z podniesionymi hiszpańskimi naramiennikami. Nieliczne na sali Europejki wyglądają przy nich brzydko, niegrzecznie i staromodnie — mężczyźni wszyscy ubrani wieczorowo, z czarnymi krawatami w butonierkach — tańczą również starsze pary, otwili mężczyźni ubrani bez zarzutu o twarzach wzdów tubylczych z nowel Londona i otyłe, bogato ubrane, prosto się trzymające kobiety.

Na pożegnalnym wieczorze, urządzonym dla delegacji na Konferencję przez filipińskie MHZ stał obok mnie stary angielski kolonista z Borneo i razem przypatrywaliśmy się hiszpańskiemu tańcowi „ligodon”, tańczonemu przez miejscowe „towarzystwo”, prawdopodobnie wyższych urzędników filipińskich i ich żony. Taniec był rytmiczny i uroczysty, kobiety ubrane w bogate suknie wieczorowe, skrojone na hiszpańską modłę, z wysokimi ramionami, oczywiście z wachlarzami w rękę, i nawet fakt, że wszystkie były starsze, otyłe i nie znały tańca, nie mógł całkowicie przytłumić wrodzonej gracji ich ruchów. Na fotelach i kanapkach siedzieli nie tańczący — starsze wyprostowane damy (w których rękach bez przerwy poruszały się wachlarze jakimś amodzielnym ruchem, nie związanym z gestykulacją i poruszeniami trzymających je kobiet) zatopione w swoich kobiecych rozmowach — pewnie dowcipnie i złośliwie obmawiały kogoś nieobecnego lub omawiały ostatnie mody. Panowie stali grupkami, dyskutując z ożywieniem — pewnie na jakieś tematy administracyjne i zawodowe. Wyglądali jak scena z Shawa czy Gogola, tyle że wszyscy byli brązowi. Mój Borneńczyk, który już trochę sobie podpił — stał, patrzył, wreszcie nie wytrzymał, i zdziwienie, które narastało w nim przez cały czas pobytu w Manili wreszcie wybuchło w okrzyku: „Ale oni naprawdę wyglądają zupełnie jak „prawdziwy ladies and gentlemen”. U mnie na Borneo „oni” wyglądają całkiem inaczej”. Mimo pijaństwa zorientowałem się jednak, że powiedział nieco za dużo i dodał: „Ale za to u mnie jest mniejsza rozpiętość zarobków”.

Jerzy Jurkiewicz

Redaguje Zespół. Adres redakcji: Warszawa ul. Żurawia 32. 1 p. Telefony: 886-11 — Sekretariat, — Red. naczelny 879-38. Adres administracji: Warszawa, ul. Wiejska, 12, tel. 800-81. Wydatki: 1000 zł. Kolorysta: P. K. „Ruch”. Oddz. w Warszawie, ul. Srebrna 12, tel. 804-20 do 25. Warunki prenumeraty: Miesięcznie 4 zł 40, kwartalnie 13 zł 80, półrocznie 27 zł 60, rocznie 55 zł 20. Wpłaty na prenumeratę indywidualną przyjmują wszystkie urzędy pocztowe oraz listonosze wiejscy. Cena ogłoszeń: 9 zł za 1 cm². Ogłoszenia przyjmuje Biuro Ogłoszeń RSW „Prasa” Warszawa, Poznańska 38, konto PKO 1-111-5589, tel. 8-23-09. Reklamistów niezamierzonych redakcja nie zwraca.

Zakłady Drukarskie i Wkresiodrukowe RSW „PRASA” Warszawa, Marszałkowska 3/5

4-B-17397